№ 15 Warszawa, dnia 3 (15) Kwietnia 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

SPRAWA GRANICZNA.

GAWĘDA

przez

Ludwika Niemojowskiego.

(Wyjątek z większej całości.)

Minął miesiąc a we dworze,
Ranną porą za stolikiem,
Siedział Rotmistrz z Porucznikiem,
Zwykłym trybem w onej porze;
Zaś na stole misa stała,
Z misy kłęby pary płyną:
Toć polewka z niej woniała
A polewka... dawaj ino!
Podle misy podpłomyki,
Krople na szałwi osobne,
Stos gomułek i pierniki,
Wszystko smaczne a nadobne.

Cicho w izbie. Wiarus stary
To do misy, to do czary,
To gomułki zasię kraje,
A w rozprawy się nie wdaje,
Bo gdy ima się coś prawić,
Nuż kęs jadła w gębę wlata,
Więc co wlazło żwawo zmiata,
By snadź w gadce się nie zdławić —
Siła schrupał już pierników,
Siła zrzezał podpłomyków,
Przedsię zawżdy gną się stoły,
Sterczą krople i gomuły,
Snadź klucznica pono zgadła,
Ową wilczą chuć do jadła.

Rotmistrz głowę sparł na dłoni,
Zadumany — a niebaczy
Na osobny stos kołaczy,
Na polewkę co tak woni;
Ni go farfur brzęk poruszy,
Ni on plusk co chlepce w dzbanie,
A no obiad a śniadanie
Zawżdy jeden smętek w duszy.

Siedzi, duma, wzdycha, sapie,
Szorstką dłonią maca czoło,
I mdłem okiem patrzy w koło,
Śledząc muchę na pułapie.

— Ejże! — stary wnet zagadnie,
Ocierając sobie wąsa,
Co się skąpał snadź w polewce —
Jakoś słonko błyska ładnie,
I Bryś pode drzwiami pląsa,
Weźmy torby a rusznice,
Może kot z chrustu wycieknie.

— To idź wasze, Rotmistrz rzeknie,
Ja zostanę.

— Ejże panie,
W taki dzionek siedzieć doma,
Toż straszna obraza Boga:
Idźmy w pole het do broga,
Kędy zwożą dziś pszenicę.

— To idź wasze gdy oskoma.

— Źle na łowy, źle do roli;
Mruknie stary trąc czupryne.

— A to jedźmy do Cześnika,
Są kasztanki, stoi bryka,
Uradujem starowinę.

— To jedź wasze sobie g'woli,

Wiarus spojrzał nań z ukosa,
Zakwaszony, osowiały,
I ująwszy chustę w dłonie,
Taki wyciął kurant z nosa,
Że aż szyby w oknach drżały.

— Panie Jacku, zasię rzeknie:
Jak Bóg miły, to nie pięknie!
Czym żagawka, chwast okisły,
Co po piętach jeno parzy,
By na mojej starej twarzy,
One afekta nie zabłysły?
Oj! bywało, prawięć gwoli
Waszmość ucho ku mnie skłania,
Dziś już ni kęs u mnie zdania
Dziś... ot milczę, serce boli!...

Rotmistrz spojrzał, potrząsł głową,
Serce boli, wierne słowo!...
I nuż wzdychać...

— Bez uchyby,
My tu siedzim jak dwa grzyby,
Ni do tańca, ni różańca,
Ni do soli, ni do roli,
Ni zawitać do sąsiada...

Rotmistrz bąknie: trudna rada!

— Trudna rada — marne słowo,
Człek ma głowę, radzi głową,
Na to głowa... Stary prawi,
A gdy kogo niemoc zdławi
Więc do łóżka rejterada...
Boć na wrzody są syropy,
A przyprawy zaś w oleju,
Ale zdrowe, silne chłopy
To nie babstwo mosterdzieju...

— Jam nie charlak do rumianku,
Fuknie Rotmistrz namarszczony,
By syropy mnie traktować!...
I umilknie zamyślony,
Myśl zaś jego nuż harcować,
Het! daleko w świat szeroki...

Jak przed słońcem mkną obłoki,
Tak gdy błysła myśl natchniona,
Ubiegł smutek z jego łona,
I wciąż dumał — a w tej myśli,
Tysiąc dziwnych złud się kryśli:
— Cóż to życie!... mruknie ścicha,
Niby sobie w duchu gwarzy;
Cóż to życie, cóż u licha,
Gdy afektów nie kojarzy?
Człek samotny, marne ziele,
Co się plezie wśród bezdroża,
Ni to radość ni wesele
Nie zawita mu u łoża.
Przyjdzie niemoc, ród zmarnieje,
Zgłobią deski mietną prochu,
I rozejdą się potrochu
Ot i basta...

— Tak się dzieje!...
Westchnie stary.

— Lecz kto kocha,
Komu afekt serce ima,
Ten i szczęście rad otrzyma
A po śmierci, choć łez trocha!

Wiarus spojrzy: po co? na co?
Ktoby nie znał pana Jacka
Mógłby myśléć, że znienacka
Białogłowa go owładła...
— Zgadłby może, toć się stadła
Nie inaczej koligacą.

Stary porwie się z za stoła,
Muśnie wąsa, potrze czoła:
— A toć trefność! znam was przecie,
Tak stateczny mąż w powiecie,
Tak rozumny w każdej dobie,
Miałby jarzmo ująć sobie!
Ująć kądziel, niańczyć dziatki,
A wywodzić żakom gadki?
Tfy do licha!

— Nie pluj wasze,
Bo obrażasz wolę nieba,
Co fortuje kroki nasze,
Jakim torem iść nam trzeba:
Bóg przykazał, Bóg uświęcił.

— Szatan chyba, mruknie stary,
By mu łacniej kark nakręcił.
Wiesz co waszmość, — głośno doda,
I jam uczuł co swoboda,
Gdym ją stracił w tym fortelu...
Oj! przed ślubem białogłowy,
To aniołki... po weselu...

I zamilknie rozżalony
A w cichości doda zasię:
— Na skórze by, na wołowej
Nie wypisał com od żony,
Wycierpiał się w onym czasie.

Rotmistrz spojrzy: — co waść plecie!
Żeś ułapił sobie jędzę,
Co dogryzła ci zajadle,
To już widzisz w każdym stadle,
Same troski, samą nędzę?
Żona... żona nie Szwed przecie,
Da się radę — na to głowa;
Dixi, finis — ani słowa!...

Na tem stanęła rozmowa.

Wiarus wybiegł het ze dwora,
Wrzkomo obiedz gospodarkę,
A zaś w rzeczy z myślą błogą,
Snadź zawziątku przebrał miarkę,
Aby gdzie wyczubić kogo.

I tak było — nad wieczorem,
Zatoczył się przede dworem
Wóz ładowny, ciężki, kryty,
W nim krup, ziarna, łoju, skórek,
Masła, miodu, okowity
Co niemiara; zaś na szczycie,
Przy miodzie i okowicie,
Pośród tumanów tysiąca,
Błysła jak księżyc z za chmurek,
Twarz rumiana, pełna, lśniąca,
Brata Marka kanafarza,
Bernadyńskiego kwestarza.
Pochwaliwszy Boga słowem,
Złazi z woza.—Witaj księżę!
Zradowany Rotmistrz woła,
Że na kwasy czemsić nowem,
Rozegna zadumę z czoła.

A braciszek nuż w ukłony,
Spuścił kaptur co twarz słonił,
Utarł nos zatabaczony,
Ręce pochował w rękawie,
I raz jeszcze mu się skłonił,
Jak to obyczaj kwestarza,
I wraz społem siadł na ławie,
Podle onego gospodarza.

Nuż w gawędę o tem, owem,
O pogodzie, sprzęcie drodze,
I o Gwardyanie nowym,
I o księdzu Kaznodziei,
I o bractwa różnych składkach,
Wreszcie zwolna gadu, gadu,
Jak języka puścił wodze,
Rozgawędził się z kolei,
O sąsiadach i sąsiadkach.
Zeszło się to snadź trefunkiem,
Że o Wojskim rzecz swą wiedzie,
Rotmistrz słucha choć w sąsiedzie,
Widział wroga w onym czasie,
Co nie bacząc na sumienie,
Okęszał mu ojców mienie.

A Bernacha prawi zasię
O Wojszczance.—Miły Boże!
Rotmistrz dość słuchać nie może.

— To niewiasta!... kwestarz rzecze,
Istny obraz zacnej matki,
(Panie przyświéć nad jej duszą)
Boć to dykcya znana w świecie,
Jaka macierz, takie dziatki;
Zaś nieboszczka jak to wiecie,
Doda wiercąc niuch tabaki,
Bo już miał obyczaj taki,
Że jak wylazł w gadce z tropu,
To rzecz ciągnął od potopu.
— Zaś nieboszczka była gwoli,
Sługą Bogu, ludziom wzorem,
A wciąż statku idąc torem,
Lubowała się w swej doli.
Jedno zawżdy Bóg feruje,
Szwank po szczęściu, ból po śmiechu,
Aby człek co siła czuje,
Choć stateczny nie legł w grzechu.
Przyszła niemoc... ot i kwita!...
Machnął ręką, kiwnął głową,
I zawięzło w gardle słowo,
Snadź poczciwy był księżyna.

— A Wojszczanka?... Rotmistrz pyta
I przysuwa gąsior wina,
I nalewa dwie szklanice.

— A Wojszczanka, ciągnie dalej
Mnich zwróciwszy gwoli lice,
Kędy nektar zdradnie woni.
— Sługa wasz co Boga chwali,
Nie światowiec a mnich prosty:
Mnie modlitwa, klasztor, posty,
Adwent zasię a dni suche.
Ot czasami na otuchę
Gąsior wina... ależ rzekę,
Jam się spłakał nad jej cnotą,
Boć to wdzięczne a przystałe,
Lube, słodkie, przed się śmiałe:
Myśl jej czysta, rozum złoty,
A serduszko... ot, na dłoni.

Kwestarz prawi, Rotmistrz słucha,
I tak jakoś mu do ucha
Lgnie gawęda Bernardyna,
Że krom dykcyi wszystko za nic,
Jedno wciąż dolewa wina,
Radby dnia nie ujrzéć granic.

— O! w tej dziewce wszystko społem:
Miękkość serca i hart duszy,
A choć warciej krew się ruszy,
Przedsię zawżdy jest aniołem.
Błyśnie oko gdy nawiasem,
Kto rycerskie wspomni sprawy,
I łzą zajdzie kiedy czasem,
Ujrzy nędzy żywot krwawy;
Dłoń jej ulgę niesie w sioła,
Słowo trwogę w błogość mieni,
Lice szczęściem się rumieni,
Kiedy radość brzmi do koła.
I dom cały i czeladka,
I mieszkańcy dalszych włości,
Modlą się za nią w cichości,
Boć w niej iście cnota rzadka!

Kwestarz prawi, rotmistrz słucha,
I wciąż miłe mu do ucha
Wchodzi mowa Bernardyna;
Jedno im się w oczach dwoi,
Bo już drugi gąsior stoi,
A w gąsiorze siła wina.

Wreszcie przybysz wstaje z ławy:
— Czas do domu!

— Cóż u licha!
Za przeważne wasze sprawy,
By się chylać od kielicha,
Darmo jechać mości księżę,
Ja już z wami domitrężę.

— Mnie tu pono siedzieć łacno,
Ale odpust jest w klasztorze,
Więc co Bóg dał to zaś zwożę,
By kompanią podjąć zacną.

— To zaś gości mieć będziecie?
Pyta Rotmistrz ściekawiony.

— Co tylko żyje w powiecie:
Księża, pany, i matrony,
Bo nasz klasztor słynny wszędzie,
A ksiądz Gwardyan...

— Wojski będzie?
Przerwał wojak.

— Nawet z córą,
On jest pierwszy nasz dobrodziej,
Ona dobrodziejką wtórą...

I znów zasiadł — jemu ino
Najobaczniej o to chodzi,
By w gąsiorze sklęsło wino.
Zmilkli oba, boć z kielicha,
Blizko do ust po za stołem,
A więc piją zasię społem:
Mnich do pana, pan do mnicha:

— Rzadka panna! na schwał powie
Mnich i głowę swą przykłoni,
Na zachwiałej trunkiem dłoni...
Wojak fuknie: — w jakiem słowie
Śmiałeś waszeć uczcić cnoty?
Toć to brylant, klejnot złoty,
Perła wszystkich pereł w świecie:
Kto jej zdrowia nie wypije,
Oknem wyjdzie a nie drzwiami.

— A więc pijmy gdy tak chcecie,
Mruknie kwestarz pod kapturem,
W długie lata niech nam żyje!...

— Vivat!... krzykną oba chórem,
I zabrzękną szklanicami,

— A kto zasię, Rotmistrz rzeknie,
Powie o niej co niepięknie,
To z szarszunem wejdę w drogę!

— Dobrodzieju, ja pomogę!
Szepnie kleryk. — Cny kwestarzu!
Chcesz barana... trzy barany,
Siążek drzewa, furkę żyta;
Są i jabłka w wirydarzu,
Jest pszenica, okowita.

— Dobrodzieju!... Kleryk jęknie,
Rozczulony a spłakany:
— Fura żyta... trzy barany,
Dobrodzieju, jak to pięknie!

I ujàwszy go za ławą,
Tak w głos czuły a płaczliwy
Jął wywodzić afekt żywy,
Że on wojak co przy stole,
Dzierżył przód dziarską postawą,
Rozbeczał się jak pacholę,
A za chwilę oba społem,
Już chrapali po za stołem.

NA MORZU.

NOWELLA

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

IX.

Nazajutrz, gdy jeszcze p. Izabela słodko spała, zbudziła się Adela z jakiegoś snu niemiłego, a zarzuciwszy na białe ramiona płaszczyk podróżny usiadła przy oknie, z którego piękny był widok na morze i rysujący się w dali kościół *San Giorgio Maggiore*. Wysmukłe linie kościoła, który z fal morskich śmiało ku niebu wyrastał, przedstawiały widok pyszny. Wschodzące słońce ozłacało kopuły i wieżycę, z której właśnie ozwał się dzwonek rozsyłający srebrne dźwięki swoje po uśpionych jeszcze lagunach.

Adela siedziała przy oknie, oczy jej zdawały się gonić po cichem źwierciedle wody jakieś milsze wspomnienia od snu dopiero co przerwanego. Jej twarz była rumianą, z oczu błyskał ogień gorączkowy. Złote zwoje włosów pokrywały jej skronie a drobna rączka machinalnie suwała po kryształowej szybie, jakby rysujące się na niej obrazy nocnego snu zmazać chciała.

Cicho odchyliły się drzwi a do pokoju wsunęła się ostrożnie czarnooka kameryera.

— *Buon giorno* — rzekła z cicha, wyciągając z za gorsu różowy bilecik.

Adela przyłożyła palce do ust, a drugą ręką wskazała na śpiącą panią Izabelę.

Włoszka zrozumiała ten giest i cicho na palcach zbliżyła się do okna, podając jej liścik różowy.

Adela skinieniem głowy odprawiła służącą, a obróciwszy się plecyma do śpiącej, zaczęła czytać.

Zapewne woń fiołkowa, która się z listu rozchodziła, podziałała na nerwy jej twarzy. Zarumieniła się, a oczy z pewną gorączką biegały od wiersza do wiersza.

Długo trwało czytanie, chociaż wierszy nie było tak wiele. Wreszcie złożyła go napowrót w pierwotny format i małym kluczykiem otworzyła hebanową kasetkę. W kasetce obok różnych klejnocików, niemniej może drogich, leżało kilka listów, podobnych barwą, wonią i formatem do dzisiejszego. Obok nich spoczął on w tej chwili spokojnie i z rezygnacyą jak wszyscy jego poprzednicy.

Gdy Adela ów hebanowy grobowiec drogich swoich pamiątek zamykała, zbudziła się pani Izabela.

— Dzieńdobry cioci — rzekła Adela z pewnem ożywieniem — podczas gdy ciocia słodko zasypiała, ułożyłam cały plan dnia dzisiejszego. Przed śniadaniem popłyniemy do *Giardino publico* i tam odbędę przejażdżkę konną. Zatęskniłam już za końmi, w tem lichem mieście ani jednego konia, ani jednego porządnego ekwipażu nie widać. Wygląda tak, jakby tu wszyscy chorowali.

— Zapewne spotkamy tam tego oficera od marynarki, który nam mówił, że konie tak lubi.

— Nie myślałam wcale o nim, tylko o koniach.

— A jakiż dalszy program?

— Po śniadaniu przejdziemy się trochę na Riva degli Schiavoni, a po obiedzie czy raczej po kawie u Floryana pójdziemy do teatru.

— Ten teatr wygląda mi jak olbrzymia restauracya, szkoda, że eleganckie *La Fenice* zamknięte.

Na tem skończyła się poranna rozmowa turystek. Ułożony przez Adelę program wykonano ściśle. Przed śniadaniem pojechano gondolą do weneckiego ogrodu, w którym jako okazy zoologiczne trzymano kilka koni przeznaczonych dla turystek. Prawowity Wenecyanin i niewyrodna Wenecyanka nie dosiadali nigdy tych okazów zoologicznych, wliczając je do zwierząt dzikich.

Adela dosiadła z prawdziwym artyzmem jednego z tych rumaków, których wiek sędziwy i poderwane nieco nogi czyniły łagodniejszemi od baranków.

Zaledwie kilkunastu było spektatorów sztuki hipicznej, między którymi ku wielkiemu zmartwieniu pani Izabeli, żadnego wyższego oficera marynarki.

Po obiedzie według programu udały się nasze turystki do teatru, w którym właśnie przedstawiano *Piękną Helenę* z improwizowanym Kalchasem. Operetka poszła nieźle a z ludu wyszły artysta śpiewał tak śmiało i tak dobrze gestykulował, że oklaskom nie było końca. Cały parter ryczał i wył z zapału a dla Adeli była ta *furia italiana* czemś tak nowem, że nawet nie spostrzegła czarnych wyzywających oczów *bersagliera*, który na kilka kroków przed jej lożą usadowił się z prawdziwie włoską *desinvolturą*.

— *Ecco!* zawołał do stojącego obok towarzysza, którego żółte wyłogi okazywały, że był artylerzystą, *ecco la bionda!*

I wskazał palcem na białe czoło Adeli z taką swobodą, jakby to była figura z *terrakotty*—patrz co za włosy! Jakie oczy a jaka twarz delikatna!

Mówiąc to gestykulował ręką tak blizko twarzy Adeli, że o mało co nie zawadził o płowe pukle cioci Izabeli.

Adela cofnęła się w głąb loży, ale za nią posunęła się dłoń żołnierza.

Adela odwróciła się od tak niemiłych owacyi dla wdzięków swoich i twarz zakryła wachlarzem. Na jej szczęście zaśpiewał znowu Kalchas a obaj adoratorowie biustu kobiecego zwrócili swe oczy na scenę, gdzie właśnie krótko podkasane Greczynki składały ofiary przed świątynią Kalchasa.

Sztuka skończyła się, Parys uwiózł piękną, prawie obnażoną Helenę w złotej gondoli, a na parterze rozległy się dzikie głosy wywołujące nieocenionego Kalchasa. Kalchas na wpół rozebrany kłaniał się na wszystkie strony, przykładał rękę do serca a drugą rozsyłał lożom gorące pocałunki.

— Jestem rozgrzaną, rzekła Adela w przedsionku świątyni, pójdziemy piechotą. W gondoli można się zaziębić. Pani Izabela przystała na to i poddała rękę Adeli.

Szły czy raczej płynęły obie z falą, która wiła się po ciasnych uliczkach. Wśród tej fali przerzynało się naprzód kilka osób. Zdawały się być uprzywilejowane, bo tłocząca się fala otwiera się dla nich i tylko tu i owdzie dobywał się okrzyk:

— *Evviva Calchas!*

Rzeczywiście był to ulubieniec republikańskich melomanów. Szedł na czele kilku swoich trabantów, kłaniając się na wszystkie strony jak zadowolony z ludów swoich monarcha.

— Patrz Adelo, to ten portyer co grywa Kalchasa!

Adela spojrzała i przystanęła na chwilę.

— Kto to za nim idzie, zapytała ciekawie.

— Kto? zapewne jego przyjaciele.

— Dziwna rzecz, jeden z nich tak był podobny...

— Do ks. Bembo?

— Nie... zdawało mi się, żem widziała pana... Władysława!

— Skądżeto! to istne złudzenie!

— Być może... zapewne.

I na tem dziwnem złudzeniu skończył się dzień dzisiejszy.

X.

Po tymże dniu nastąpiło kilka innych zupełnie podobnych do niego. Adela jak zwykle budziła się wcześniej od pani Izabeli. Czarnooka Włoszka przychodziła wtedy ostrożnie do pokoju i wręczała Adeli liścik różowy, zawsze tego samego formatu i tej samej woni. Adela czytała go zawsze z tą samą ciekawością, przypatrywała się wierszom i literom, a po skończonych pieszczotach chowała go w tym samym hebanowym grobowcu, w którym spoczywało to wszystko, co miała najdroższego. Po takim pogrzebie a przebudzeniu się pani Izabeli, układała zwykle program na cały dzień, który zawierał różne wycieczki lądem i wodą. Pani Izabela przystawała zazwyczaj na te wycieczki, a w skrytości duszy posądzała Adelę, że szuka albo owego hrabiego z kaplicy padewskiej, albo markiza z południowej Francyi, który jej tyle o swoim majoracie opowiadał, albo wreszcie jednego z tych licznych sąsiadów hotelowych, którzy przy smażonych w oliwie karczochach tak pięknie rozprawiali o wdziękach polskich kobiet.

Wprawdzie posądzenia te były prawdopodobnie niesłuszne, albo fatalność jakaś ciężyła na programach Adeli, bo ani hrabiego z kaplicy padewskiej ani właściciela francuzkiegò majoratu nigdzie nie spotkano. A podejrzenia pani Izabeli miały pewne prawdopodobieństwo, bo Adela mianowicie w ostatnich dniach, miała zawsze na twarzy jakiś uśmiech zagadkowy, jakby się uśmiechała do własnych myśli swoich i rojeń.

Wreszcie po tych dniach mniej więcej pogodnych nastąpił dzień deszczowy. Już od rana zaległa laguny jakaś mgła nieprzejrzysta, a kościoły i pałace Wenecyi utonęły w tej mgle lub zamazały się w jakieś bryły bezkształtne. Na lagunach słychać było tylko od czasu do czasu hasło gondoliera, aby się z przeciwnikiem nie spotkać.

Adela siedziała długi czas przy oknie w nadziei że mgła się podniesie a słońce zaświeci. Tymczasem mgła gęstniała coraz więcej a w końcu zamieniła się w deszcz rzęsisty. Dziwny to był widok. Deszcz w Wenecyi wygląda zupełnie inaczej niżeli gdzieindziej. Krople wody zdają się być zawieszone w powietrzu a trudno odgadnąć, czy z góry na dół padają, czy z morza wznoszą się do góry. Lekka fala opłukuje ustawione przy brzegu gondole a plusk ten niewidzialny sprawia wrażenie szelestu skrzydeł jakichś duchów tajemniczych.

Deszcz trwał cały ranek a nie było nadziei, aby tak wcześnie ustał. Pani Izabela przechadzała się po pokoju ziewając, a Adela usiadła przy biurku, aby uporządkować podróżne swoje nabytki w braku innego zatrudnienia. Rozwinęła spory pakiecik i otworzyła okazałe album!

W pakieciku mieściły się rozmaite fotografie. Jedne wyobrażały żyjące osoby, drugie były kopią obrazów lub rzeźb. Zaczęła je z uwagą sortować.

Najsamprzód wzięła w rękę portret jakiegoś mężczyzny z czarnym, bujnym zarostem. Przypatrywała mu się czas niejaki. Po jej twarzy przesuwał się uśmiech zadowolenia, jakby przypatrywała się przyjemnym swoim wspomnieniom. Odwróciła fotografią i przeczytała kilka wierszy na odwrotnej stronie napisanych. Wiersze te zapewne się jej podobały, bo zrobiła ruch ręką, jakby te fotografią w albumie umieścić chciała. Po chwili jednak namyśliła się inaczej — fotografia została w pakiecie.

Druga z kolei fotografia wyobrażała mężczyznę z szerokiemi bakenbardami a brodą starannie ogoloną. Wyglądał on na przyszłego dyplomatę, a tymczasem zajmował prawdopodobnie w biurze ministra jakieś stanowisko podrzędne. Fotografia ta pozostała także w pakiecie.

Następujący konterfekt nie był także szczęśliwszym. Widać było na nim mężczyznę otyłego, z grubym złotym łańcuchem. Na twarzy malowało się zadowolenie, jakie zazwyczaj daje dobrobyt i pewna niepoślednia pozycya towarzyska.

Szczęśliwszym od swoich poprzedników był jakiś młody mężczyzna w negliżu bardzo niedbałym. Siedział na fotelu z taką swobodą, jakby nikt w tej chwili na niego nie patrzał. Fotografia ta została zamieszczona w albumie.

— Czy to markiz de la Rocca? — zapytała pani Izabela, zatrzymując się przy biurku.

— Tak jest — odpowiedziała Adela — to ten grzeczny towarzysz podróży, który nas oprowadzał po Medyolanie.

— I który od nas zażądał adresu.

— Tak jest.

— Dotąd nie pisał... zapewne zapomniał.

Różowe paluszki Adeli chciały w tej chwili markiza wyrzucić z albumu, ale po niejakim namyśle pozostał dostojny towarzysz podróży na zajętem raz stanowisku.

Przeglądanie i sortowanie fotografii trwało dosyć długo. Był ich spory zasób. Jedne pozostawały jak niepotrzebny balast w prozaicznym pakiecie, inne przechodziły ku dłuższej pamięci do artystycznie ozdobionych kart albumu. Czasami dla niejednego skazańca wyprosiła łaskę pani Izabela, a z drugiej strony protestowała nieraz przeciw zaszczytom wyświadczonym niemiłym dla niej osobistościom. Był to niejako rachunek wrażeń z dotychczasowej podróży. Zapewne dzisiejszy dzień dżdżysty tak samo wpływał na właściciela hotelu, który również zabrał się do rachunku, tylko nie wrażeń swoich, ale należytości, jakie miał u lokatorów.

Adela nie była jeszcze ukończyła swego rachunku, gdy się drzwi otworzyły a wyfrakowany garson z niskim ukłonem złożył na biurku rachunek hotelowy.

Dwa rachunki naraz, to za wiele. Rachunek Adeli nie wypadł bardzo pomyślnie, jak to z chmurki na jej czole można było odgadnąć. Wiele bilastu pozostało w pakiecie a to, co niby do pamięci przejść miało, nie sprawiało wielkiej radości. Wszystko to było podobne do owych mglistych obrazów, które wprawdzie oko barwnością swoją zachwycają, ale wkrótce nikną i giną.

Adela westchnęła.

— Cóż to jest? — zapytała pani Izabela, patrząc na kartę przyniesioną przez garsona.

— Rachunek — odpowiedziała krótko Adela.

— Oj, te rachunki, rachunki, gdyby to ich na wiecie nie było!

Adela uśmiechnęła się z pewną goryczą.

— Prędzej czy później, trzeba się zawsze obrachować — rzekła półgłosem, jakby do własnych swoich myśli mówiła.

Tymczasem ożywionem okiem przeglądała pani Izabela podany rachunek. Czoło jej marszczyło się, twarz przybierała wyraz niezadowolenia.

— Jakże ci ludzie drą nielitościwie! — zawołała z oburzeniem — mówiłam ci, aby się wprzódy dobrze wytargować. Każdy włoch to oszust.

Oczy Adeli spoczywały właśnie na fotografii, wyobrażającej wyższego wojskowego. Słowa ostatnie pani Izabeli sprawiły na niej dziwne wrażenie. Z pewną gorączką rzuciła fotografią do pakietu.

— Że nas drą i oszukują — odrzekła z rozdrażnieniem — nikt temu nie przeczy, ale czegoś trzeba zawsze doświadczyć!

— Mówię ci, że za te wszystkie *rizotti con fegatini* nie dałabym naszych poczciwych polskich klusek!

— Być może — odpowiedziała z uśmiechem Adela — że i ja z radością wrócę do tych naszych klusek!

Nastąpiło dłuższe milczenie. Cyfry hotelowego rachunku były tak wymowne, że nawet bez słów sprawiały głębokie wrażenie. Pani Izabela zaczęła znowu chodzić po pokoju a Adela zamknęła album, a oparłszy się o poręcz fotelu, zdawała się coś obliczać w swoich myślach. Trudno odgadnąć, czy pani Izabela teraz rzeczywiście o tych poczciwych polskich kluskach myślała, lub czy Adela obliczała do nich przestrzeń w myślach. A niepewność ta trwała dosyć długo, i byłaby może przeciągnęła się aż do wieczora, gdyby łaskawe niebo, które nigdy człowieka nie opuszcza, nie było puściło na biedne kobiety promyka swojego słońca. I rzeczywiście z mgły deszczowej wychyliła się teraz wysmukła kopuła San Giorgo maggiore, a niestateczna Fortuna na gałce Dogany obróciła się ku wschodowi, co zawsze przepowiada pogodę.

Z pierwszym promieniem słońca jakiś lepszy duch wstąpił w zadumane turystki. Na twarzy Adeli pojawił się znowu ten uśmiech tajemniczy, jaki jej w ostatnich dniach nie opuszczał, a pani Izabela, przejrzawszy jeszcze raz rachunek hotelowy, przyznała, że w zestawieniu liczb nie zaszła żadna pomyłka. I jakoś lżej i swobodniej robiło się w pokoju i na świecie, a Adela, spodziewając się jeszcze czegoś lepszego, zaczęła nawet półgłosem nucić sobie jakąś aryjkę.

I przeczuła dobrze. Do pokoju wszedł teraz listowy i do jej białych rączek złożył list gruby opatrzony kilkoma pieczęciami.

— Od cioci Kloci! krzyknęła Adela i z gorączką rozdarła kopertę.

Z koperty wysunęło się naprzód kilka poważnych biletów bankowych a za niemi okazała się szara ćwiartka zwyczajnego papieru, zapisana po same brzegi pismem niebardzo wprawnem. Pani Izabela podjęła z ziemi bilety bankowe i z pewną pieszczotą przycisnęła je do piersi, podczas gdy Adela z gorączką list cioci czytała.

P. Klotylda pisała z niemałem wysileniem swoich zasobów umysłowych, że zbiory i omłoty nie najlepiej wypadły, że dwie były sekwestracye za podatki, że banki grożą licytacyą a prawny doradca już znikąd pieniędzy wydobyć nie może. Dalej pisała, że najpiękniejsza holenderka odeszła, najadłszy się koniczyny i że mleko z powodu złej paszy jest tak rzadkie, iż masła często robić nie można...

Słowa te czytane przez Adelę sprawiły na obu

kobietach mimo zawartej w nich goryczy jakieś nader miłe wrażenie. Zawiewała z nich woń wioski rodzinnej i budziła w duszy owe wspomnienia, które w obczyźnie tak świetne przybierają kolory!...

Dalej pisała ciocia, że nie mogąc nigdzie pieniędzy pożyczyć, musiała sprzedać 50 indyków, 10 cieląt i paręset korcy *in spe* pszenicy, za co uzyskaną kwotę posyła do Wenecyi.

Ostatnia stronica była poświęcona wyłącznie sąsiadom a w pierwszem miejscu panu Władysławowi.

Gdy Adela doszła do tego ustępu, zaprzestała głośno czytać. Szybko przesuwała oczy z wiersza do wiersza a na jej ustach drżał uśmiech niecierpliwości.

Wreszcie skończyła a rzuciwszy list w ręce pani Izabeli zaczęła szybko chodzić po pokoju. Twarz jej miała wyraz prawie figlarny, a od czasu do czasu śmiała się nawet głośno do siebie.

— Wiesz ciociu, ozwała się stając przy biurku, to mi wiele wyjaśnia chociaż od niejakiego czasu miałam pewne podejrzenia...

Długi czas rozmawiały obie kobiety dosyć wesoło z sobą a trudno było odgadnąć, czy do tej wesołości przyczyniły się owe poważne bilety bankowe, które z Polski nadeszły, czy list p. Klotyldy, donoszący o tem, co w sąsiedztwie widziała i słyszała. A że nawet i niebo weneckie pięknie się wypogodziło, zadzwoniła Adela na garsona, który otrzymał rozkaz zamówienia gondoli na parę godzin wieczornych.

W tej gondoli miały obie kobiety użyć przejażdżki na cmentarz wenecki, znajdujący się na wyspie św. Michała. Po tej wycieczce przy świetle księżyca obiecywała sobie Adela wiele.

(*D. c. n.*)

Z PAMIĘTNIKÓW Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora

(Dalszy ciąg.)

III.

U PRADZIADKA FRUKTUSA.

Niemal od kolebki, a już z pewnością od czasu, jak zacząłem mówić i mowę rozumieć, obijało się o uszy moje imię pradziadka Fruktusa.

Pokrewieństwo było podobno dosyć dalekie, a chociaż był to, jeśli się nie mylę, wuj matki naszego ojca, a więc niby istotnie dziadek wujeczny rodziców naszych, pomimo to wszystkie pokolenia i starsze i młodsze — i my dzieci i babunia (po matce) nazywaliśmy tę osobistość zarówno pradziadkiem.

Długo było dla nas dzieci tajemnicą, czy Fruktus — to imię, czy nazwisko. Nazywano pradziadka zawsze tylko tem imieniem i znacznie już później, w latach chłopięcych, dowiedziałem się, że nosił on nazwisko od naszego odmienne, w kronikach szlachty litewskiej i herbarzach dość znane.

Dla umysłu dziecinnego imię, które dziecko słyszy, będące najczęściej brzmieniem cudzoziemskiem, jest czczym dźwiękiem, nieobudzającym w myśli żadnego pojęcia, żadnego obrazu, jak zwykle wyrazy niezrozumiałe. Ażeby zaradzić temu brakowi i uczynić zadość owej potrzebie ducha ludzkiego, pragnącego wszystko pojąć i zrozumieć, wyobraźnia dziecięca instynktowo, może wskutek przypadkowego zbiegu wrażeń i wspomnień, a może przez dziwne jakieś powinowactwo dźwięków z myślą, nadaje słyszanym imionom pewne określone znaczenie. Tak pamiętam dobrze, iż Andrzej znaczył dla mnie w dzieciństwie to samo co *beczka*, Paweł koniecznie musiał nosić długi płaszcz, Stanisław był to wąsal, Maryanna nie różniła się od marchewki, Jakób przypominał kieliszek, a Janek — butelkę, Franciszek był zawsze czerwony, a Franciszka była to tłuścioszka. Co do wielu imion, znaczenie ich nastręczało się umysłowi dziecinnemu odrazu, jeżeli były to wyrazy w mowie potocznej używane: tak ilekroć kto mówił o Klarze, wnet przychodziło mi na myśl wyklarowane masło, które podawano do „oładek" litewskich lub do pulchnego „grzybka", a Małgorzata, oczywiście, była okrągłą, złotą gruszeczką. Do tej kategoryi należało także imię pradziadka Fruktusa, gdyż na Litwie mówią powszechnie *frukta* zamiast *owoce*: nieznany więc pradziadek jednemu z nas przedstawiał się w umyśle, jako duża i podłużna, nakrapiana gruszka zimowa; drugi wyobrażał go sobie raczej w postaci dojrzałej śliwki węgierskiej; siostrzyczka Malwinka twierdziła, że pradziadek podobny jest do żółtego melonu, a chłopak pokojowy Kazimierek zaręczał, że właściwie nie jest on fruktem, ale dojrzałym ogórkiem „nasiennikiem", który chyba z wielkiej grzeczności może być porachowanym do fruktów.

Pradziadek lubił opowiadać krewnym historyą swego osobliwszego imienia. Ojciec jego, pan podstoli mozyrski, był zapalonym miłośnikiem łaciny — i to podobno nawet klasycznej, nie zaś kuchennej, jak inni u nas wtedy — tak że nawet służbę i arendarza, chociaż z wielkim mozołem udało mu się nauczyć nieco bąkać językiem Cycerona.

Gniewało tylko pana podstolego, że chociaż Janek bez zarzutu meldował mu zawsze: *rustici quidam ad te, domine, venerunt* (jacyś chłopi do pana przyszli), ale arendarz mówił zawsze na powitanie *szałwie* zamiast *salve*, a żegnał go wyrazem *wały* lub *wałek* miasto klasycznego *vale*, co obudzało śmiech serdeczny śród posługi, zwłaszcza jeszcze nowicyuszów, *tironów*, jak mawiał pan podstoli, którzy nie mogli pojąć, dla czego Icek najpierwiej mówił coś do pana o *szałwii* (na Litwie *szałwieja*), a żegnał go *wałami* lub *wałkiem*. Otóż tedy, rozumie się, że imiona dzieci pana podstolego musiały być czysto łacińskie. Nasz pradziadek był najstarszym jego synem, gdy więc przyszedł na świat (a musiało to być, jak miarkuję, chyba jeszcze w początkach panowania Augusta III w Polsce, a księcia Michała Rybeńki Radziwiłła na Litwie) ojciec postanowił pierwotny owoc swego małżeństwa nazwać po łacinie poprostu owocem — Fruktus. Była to na owe czasy nowość, gdyż szlachta zwykle w wyborze imion nie ważyła się odstępować od kalendarza i księża tego pilnie przestrzegali; ale pan podstoli potrafił przekonać poczciwego księdza Polikarpa, przeora dominikanów nieświezkich, który został zaproszony dla dopełnienia obrzędu chrzcin nad nowonarodzonym.

Gdy bowiem zacny księżyna jął dowodzić, że takiego świętego w kalendarzu, a zatem i w niebie, wcale nie ma, że przeto dziedzic pana podstolego będzie pozbawiony na całe życie i po śmierci, patrona i orędownika; że nadto nie będzie mógł, jak każdy prawy szlachcic i katolik, obchodzić swych imienin, chyba w dniu dojrzewania jabłek lub innych fruktów, co jest rzeczą śmieszną, heretycką i niemal pogańską, i że wskutek tego, obyczajem przodków, wypada dać chłopcu imię Ansgary — gdyż podobno przyszedł na świat 4 lutego — pan podstoli wysłuchał tego cierpliwie, ale przeciwko dowodzeniom wystawił swoje argumenta. Że zaś był biegłym podobno w naukach duchownych i świeckich, wykazał naprzód księdzu przeorowi, że imię Fruktus znajduje się nawet w pozdrowieniu anielskiem, gdzie tym wyrazem nazwany został nie kto inny, jak sam Pan Jezus — „owoc żywota" P. Maryi: że przeto imię to jest szacowne i święte, tembardziej że archanioł Gabryel połączył je z imieniem Benedykta, które znaczy błogosławiony (et benedictus fructus ventris tui i błogosławiony owoc żywota twego); że nadto znajduje się w kalendarzu, a jeśli nie w kalendarzu to z pewnością w martyrologium, imię św. Karpa męczennika, a *karpós* po grecku znaczy to samo, co łacińskie *fruchtus*; że nakoniec ten sam wyraz, czyli raczej to samo imię, znajduje się nawet w imieniu zakonnem samego księdza przeora, gdyż Polikarp nie znaczy po grecku nic innego, jak *obfity we frukta*.

Zdumiony szczególniej tym ostatnim argumentem, któremu szczęśliwy traf nadał osobliwszą wagę, a także przekonany dowodem teologicznym i pełny podziwienia dla uczoności p. Podstolego, poczciwy ksiądz przeor, który choć nie był zbyt uczonym, ale o tyle przecież znał łacinę i słyszał o greczyznie, że mógł poznać prawdziwość lingwistycznych wywodów gospodarza, musiał nakoniec ustąpić. Wymógł tylko, że na cześć pozdrowienia anielskiego i w myśl wykładu pana podstolego, dodano chłopcu drugie imię Benedykt. Wynikało ztąd, niby, że Fruktus-Benedykt mógł obchodzić swoje imieniny dnia 21 marca, w dzień św. patryarchy zakonu benedyktynów, ale pradziadunio Fruktus drugie to swoje imię zupełnie puścił w niepamięć, imienin zaś nigdy i w żadnym dniu nie obchodził, wzmiankując tylko niekiedy nawiasem w myśl doktryny ojcowskiej, że imieniny jego przypadają w święto Zwiastowania. Fruktus-Benedykt był jedynakiem; nie wypadło więc panu podstolemu wyszukiwać imion dla dalszych synów. Miał tylko jeszcze dwie córki, które, oczywiście po łacinie, nazwał Deformis (Brzydka) i Parvula (Malutka). Pradziadek Fruktus wspominał niekiedy, że panna Deformis, gdy dorosła, celowała olśniewającą pięknością, a panna Parvula była olbrzymiego wzrostu. Jedna z nich była matką naszej babki. Jak usprawiedliwiał przed księżmi podstoli imiona swych córek, którym rzeczywistość w późniejszym ich wieku kłam zadała — o tem już nie słyszałem wcale.

Pradziadek Fruktus długo był dla mnie istotą tajemniczą, nawpół bajeczną, gdyż do dziesiątego roku życia nigdy go jeszcze nie widziałem. Krążyły w domu naszym rozmaite o nim szczegóły i opowieści, niektóre z charakterem legendowym. Opisywano, jak wygląda, jak się nosi, jak mówi, jaki tryb życia pędzi, jakie ma obyczaje i jakie dawniej przechodził koleje. Słuchałem tego wszystkiego z zaciekawieniem i podziwem, pałając niecierpliwością poznania coprędzej owego dziwnego pradziadka, który, jak zgadzali się wszyscy domowi, liczył już sobie przeszło sto lat wieku i miał na głowie tylko siedm włosów, a dzieci lubił bardzo, chociaż tego nie okazywał.

Brat mój Oleś posłyszał kiedyś od babuni, że pradziadek Fruktus chadzał dawniej w kontuszu i żupanie. Tradycya o tym ubiorze staropolskim

była już tak prędko i całkowicie zaginęła, że nim zaczęliśmy czytywać książki o przeszłości krajowej, nikt z nas dzieci nie potrafił sobie objaśnić, co to takiego kontusz i żupan — wyrazy, które powtarzaliśmy bezmyślnie. Brat Edmuś dowodził, że kontusz — to pewno surdut z materyi z włosia końskiego, takiej, jaką pokryte były meble w naszym pokoju, a Malwinka utrzymywała, że słyszała od pokojówki Herminki, iż żupan była to spódnica, noszona dawniej przez mężczyzn, a dlatego tak nazwana, że była zawsze koloru zupy grochowej.

(*D. c. n.*)

KONIK POLNY U MRÓWEK.

Komedya w jednym akcie,

przez

ERNESTA LEGOUVÉ i EU. LABICHE

członków akademii francuzkiej.

Przekład **Seweryny D.**

(Dokończenie.)

SCENA VIII.

Ciż sami oprócz Chameroy.

Paweł. Moje zadanie dopełnione!
(Zabiera się do wyjścia.)

Henryeta. Chwilę jeszcze... racz się pan zatrzymać.

Paweł. Jakto? cóż mi pani rozkaże?

Henryeta. Pan dopełnił już wielu ważnych rzeczy... pożytecznie jest upiększyć salon, rozrzucić kwiaty po etażerkach, ale przecież pan Verac nie zaślubi salonu tylko mnie!... Na cóż się zda przeistoczyć dom, jeśli ta która w nim mieszka, będzie zawsze tem czem jest, niezgrabną i nieokrzesaną!

Paweł. Nie żartuj pani ze mnie!

Henryeta. Ja wcale nie żartuję... wiem dobrze ile mi niedostaje.

Pani Chameroy. Ile ci nie dostaje? radabym wiedzieć!

Henryeta. Chciej pan powiedzieć mamie...

Paweł. O pani!

Henryeta. Czyż godzi się odmawiać? Jesteś pan przyjacielem pana de Verac, chcesz zapewne bym mu była przyjemną?...

Paweł (na stronie). Szczególna rola!

Henryeta. Spojrzyj pan na mnie, jak przed chwilą patrzałeś na ten salon... powiedz pan wszystko, bez ogródki... wszystko!... (Staje przed nim.) No i cóż?

Paweł (przypatrzywszy się pilnie). A więc wyznaję pani, że układ włosów...

Pani Chameroy (z głośnym śmiechem). Ha, ha! wiedziałam że się złapie. Otóż wiedz pan o tem... dziś rano sprowadziłam fryzyera zapłaciłam mu aż sześć franków.

Paweł. Widzę też właśnie rękę fryzyera i to mnie razi... Te włosy nasunięte zbytecznie na czoło, nadają pani niewłaściwą jej fizyognomią. Jeden pukiel za nisko spada.

Henryeta. Rozumiem! (Staje przed zwierciadłem rozgarnia włosy ręką.) A teraz czy lepiej?

Paweł. Wybornie!

Henryeta. To mój zwykły sposób czesania. A potem.

Paweł. Cóż potem?

Pani Chameroy. No i cóż będzie jeszcze?

Henryeta. Tyle jest innych rzeczy!

Paweł. Naprzykład suknia... Kto ją robił?

Pani Chameroy. Kupiłam ją gotową...

Paweł. Rzecz okropna taką figurę więzić w takim pancerzu! Przyślę pani szwaczkę, która ubiera moje siostry.

Henryeta. Szwaczkę?

Paweł. Tak jest — królowę szwaczek.

Henryeta. Zobaczymy potem... a teraz...

Paweł. Cóż teraz?...

Henryeta. To dopiero początek! Uczysz mnie pan jak się ubierać... ależ nie dosyć na tem aby kobieta była dobrze uczesaną i zgrabnie ustrojoną... Ja chcę uszczęśliwić przyszłego męża mego... chcę aby mnie ukochał oczyma, sercem i rozumem!

Pani Chameroy (z rozrzewnieniem). Jakaż ona miluchna!

Paweł. A więc powiem pani... Pan Verac gorąco kocha matkę swoją. Jest to osoba w późnym wieku, od lat kilku złamana chorobą... pozostały jej tylko dwie przyjemności... słuchać śpiewu i czytania. Pani masz zapewne miły głos?

Pani Chameroy. Prześliczny głos — ja miałam taki sam gdy byłam młoda.

Paweł. A umiesz pani czytać?

Pani Chameroy (z oburzeniem). Jakto? czy umie czytać? Cóż to pan o nas myśli? Wiedz o tem mój panie, że córka moja wychowana na pierwszej pensyi paryzkiej; dziś jeszcze chodzi na kurs literatury. (Bierze książkę ze stołu.)

Henryeta. Pan zapewne pyta jak ja czytam?...

Pani Chameroy. Czyta — tak samo jak i mówi!

Paweł. Gdybyż to była prawda! Zobaczymy. (Patrzy na książkę.) Co to jest? Ha listy pani de Sevigné! Wyborne... ulubione dzieło pani de Verac. (Otwiera książkę.) List o księciu... (Posuwa książkę Henryecie.)

Henryeta. Jakto mam czytać głośno?

Paweł. Tak jest...

Henryeta. Przed panem! oh! ja się lękam...

Paweł. Nie ma czego... zaczynaj pani!

Henryeta. Doprawdy?

Paweł. Śmiało... z odwagą.

Henryeta (bierze książkę, czyta bardzo prędko, jednostajnym głosem). „Książę N., wracał wczoraj szybkim kłusem z Saint-Germain. Pędził jak wicher... On sam szumno gra rolę wielkiego pana, ale słudzy pyszniejsi jeszcze z niego, przebiegają Nanterre... tra ra ra! Biedaczysko jakieś wlecze się konno... z drogi!... precz... z drogi!”

Pani Chameroy. Ślicznie! (Do Pawła) a co czy nie płynnie czyta? cóż pan na to? mów szczerze...

Paweł (wesoło). Szczerze... a więc powiem, że to nie tak jak trzeba!

Pani Chameroy. Co?

Henryeta. Jakto.

Paweł. Po co czytać galopem? czemu pytam, czytając nie być sobą?

Henryeta. Ależ...

Paweł. W potocznej rozmowie czyby też pani powiedziała: (Naśladuje czytanie jej.) „Książę wracał wczoraj szybkim kłusem z Saint Germain, pędził jak wicher!”

Henryeta. O! wcale nie!

Paweł (naśladując ją dalej). „On sam szumno gra rolę wielkiego pana, ale słudzy pyszniejsi jeszcze z niego.”

Henryeta. Czy ja tak byłam śmieszną?

Paweł (czytając dalej). „Przebiegają Nanterre... tra, ra, ra! Biedaczysko jakieś wlecze się konno...

Henryeta (przerywając). Dość już, dość!... to okropnie... cóż tu czynić aby dobrze czytać?

Paweł. Ja panią tego nie nauczę, ale przyślę biegłego nauczyciela.

Henryeta. Wezmę go... ale teraz...

Paweł. No i cóż teraz?

Henryeta. Wszystko to może dodać wdzięku, ale przejdźmy do rzeczy poważnych co stanowią grunt życia...

Paweł. Do rzeczy poważnych! znajdziesz je pani tutaj!... (Ukazuje książkę.) Ta wyższa kobieta, którą pani kochasz instynktowo, nauczy cię jak być zarazem wesołą i poważną, jak żyć w świecie a nie zaniedbać nauki. Ona wszystko czytała, zajmowała się wszystkiem; nauką bez pedanteryi, poezyą bez chorobliwej egzaltacyi, filozofią bez śmiesznej przesady, a co więcej była najzacniejszą żoną, przyjaciołką pełną poświęcenia, najtkliwszą matką... miłość dla córki posunęła do bohaterstwa, umarła bowiem, pielęgnując ją w zaraźliwej gorączce. (Pani Chameroy ociera z łez oczy.) Wszystkie rady moje łączą się w tej jednej, chcesz-li pani być dobrą i zachwycającą kobietą? Oto wzór godny naśladowania! Stań się podobną do niej... Ależ ja prawię konferencyą o pani de Sevigni! Daję słowo... nie miałem tej myśli...

Pani Chameroy (na stronie). Jak on mnie się podoba.

SCENA IX.

Ciż sami, Służący.

Służący. Pan kazał prosić panią — jest na dole z meblami, nie wiemy sami od czego zacząć.

Pani Chameroy. Wierzę bardzo, idę.
(Wychodzi.)

Paweł (zabierając się do wyjścia). Idziemy wszyscy razem.

Henryeta (zatrzymując go). Jeszcze słowo — ostatnia to już rada.

Paweł (wesoło). Ależ wypowiedziałem wszystko co wiem, już nic nie zostało.

Henryeta. Nie żartuj pan — tu idzie o rzecz wielkiej wagi.

Paweł. O cóż naprzykład... mów pani...

Henryeta. Ja bardzo się lękam.

Paweł. O co?

Henryeta. Tak... lękam się... Od pół godziny mnóstwo rzeczy przebiegło mi przez głowę! Lękam się czy świat do którego wnijdę, nie będzie dla mnie obcym... Lękam się czy rodzina pana de Verac, nie zechce upokarzać rodziców moich tak odmiennych mową, zwyczajami, obejściem... Lękam się o nich... będąż oni szczęśliwi? Ileż to może nastąpić nieporozumień i przykrości!

Paweł. Wszakże pani tam będziesz!... do pani należy uprzedzić i zażegnać wszelką burzę. Potrzeba na to wiele taktu — a nadewszystko wiele serca. Potrzeba tego wdzięku co rozprasza chmury, zanim się nagromadzą, rozumu, co umie obrócić w żart, niejedno kolące słowo... rozumem i dobrocią, złamiesz pani wszelkie trudności...

Henryeta. Będę czynić co można, lecz...

Paweł. To bardzo łatwo. Wszystko to ludzie najzacniejsi... tak rodzice pani — jak przyszły jej mąż i jego matka. Wszyscy ukochają panią i w niej połączą się wzajemnem uczuciem. Zależy to jedynie od pani.

Henryeta (wzruszona). O rozumiem pana! Wdzięczną jestem za dobre rady — ale i nadal pan mi ich nie odmówi! Zadanie moje trudne — a jam

niedoświadczona. Musisz pan spełnić do końca zaczęte dzieło — i często nas odwiedzać...

Paweł. Będę służył na każdy rozkaz pani...

Henryeta. Obiecujesz pan?

Paweł. Obiecuję...

Henryeta. Szczerze dziękuję panu.

SCENA X.

Ciż sami, Chameroy, Pani Chameroy.

Chameroy (za sceną). Dobrze! dobrze! zostawcie tam wszystko.

Pani Chameroy (za sceną). Nie potłuczcie nic. (Wchodzą.)

Paweł. Ha! otóż i meble.

Chameroy. Co mi tam meble... ot... małżeństwo chybiło!

Paweł. Jakto?

Chameroy. Odebrałem list...

Henryeta. Od kogo?

Chameroy. Od pana de Verac.

Henryeta. No i cóż?

Chameroy. List jakiś dziwny... pełen komplementów, lecz kończy się grzecznem wycofaniem! patrz pan! (Oddaje list Pawłowi.)

Paweł Czekaj pan... to być nie może... niepodobna! (Biegnie do stołu.)

Chameroy. Co pan chcesz...

Paweł. Odpisuję mu.

Chameroy. Jakto? co?

Paweł. Zobaczy pan sam.

Chameroy. Ależ...

Paweł. Pozwól że mi...

Henryeta. Zaufaj mu papo...

Paweł (pisząc). On myśli że ja na to pozwolę!

Chameroy (patrząc na piszącego). To mi ręka! pędzi jak wiatr... Takiegoż to mieć komisanta!

Pani Chameroy. No i cóż mu pan powie?

Paweł (wstając). Oto mój list. (Czyta.) Niedołęgo! półgłówku! waryacie!

Henryeta. Ależ to nazbyt ostro!

Paweł. Między przyjaciołmi takie słowa uchodzą. (Czyta.) Jakto? samo szczęście wlazło ci w rękę, a ty go odtrącasz! Niebo zsyła ci teścia jakich nie ma na świecie! Dobry, uczciwy, pełen serca!

Chameroy. Wybornie!

Paweł. Matkę żony, może trochę. .

Pani Chameroy. Może trochę... co?

Paweł. Nic... nic... zmazałem. (Czyta dalej.) Matka żony, pełna rozsądku, charakteru...

Pani Chameroy. Bardzo dobrze!

Paweł. Co do panienki, to poprostu skarb!

Henryeta. O panie!

Chameroy (do córki). Tamten inaczej myśli...

Paweł (czytając dalej). I ty ją odrzucasz! odrzucasz ją, bo myślisz że ci zawadzać będzie w świecie... ależ nikczemniku! wieszże ty czego masz prawo się obawiać? Oto żeby wszyscy przyjaciele twoi zacząwszy ode mnie... nie uderzyli czołem przed żoną twoją.

Chameroy. Brawo! brawo!

Paweł (czytając zawsze). A więc niegodziwcze, przybywaj tu czemprędzej! błagaj na kolanach o przebaczenie za twój list... może ci przebaczą na prośby moje.

Chameroy. Doskonale—oto koperta.

Henryeta (zatrzymując go). Daruj pan...

Pani Chameroy. Jakto?

Henryeta (do Pawła, odbierając list). Czy pan w rzeczy samej myślisz to wszystko coś napisał?

Paweł. W rzeczy samej.

Henryeta. Więc to zupełna prawda?

Paweł. Zupełna... mógłbym przysiądz! (Patrzy na Henryetę, która bierze list i chce go podrzeć.) Co to znaczy? powiedz mi pani?

Henryeta. To znaczy, że pan źle broniłeś sprawy przyjaciela. (Chwyta znowu list.)

Paweł (z przekonaniem). Zatrzymaj się pani — błagam o to! Chcesz zniszczyć własne szczęście... Swoje i jego szczęście! Nie znam szlachetniejszego człowieka jak ten Verac!... Złote serce, rozum bystry, wysoko ukształcony. On ciebie godzien pani. To nie są próżne słowa... znam panią zaledwie od chwili, ale ta krótka chwila dała mi odgadnąć czem jesteś i czem będziesz!... Błagam cię pani... nie odbieraj takiej żony przyjacielowi memu!

Henryeta. Jakiżto z pana zły adwokat! (Rozdziera list.) Chciej pan powiedzieć panu Verac, że gdyby wrócił do mnie, jabym mu odmówiła.

Chameroy. Co? tybyś odmówiła?

Paweł. Dlaczego?

Henryeta. Dlaczego? powiem to panu potem, może nigdy, a może jutro... Zobaczymy się jeszcze... pan mi to obiecałeś...

Paweł (do pana i pani Chameroy). Czy państwo pozwolą?

Chameroy. Jak najchętniej...

Henryeta. A więc do jutra!

Paweł. Do jutra. (Wychodzi.)

SCENA XI.

Chameroy, Pani Chameroy, Henryeta.

Pani Chameroy. Wytłomacz że nam, co to ma wszystko znaczyć?

Henryeta. To znaczy... (ukazaje drzwi, któremi Paweł wyszedł) że ja za tego pójdę...

Chameroy. Co?

Henryeta. Jeżeli mnie zechce, i jeśli przy bliższem poznaniu, tak mnie zniewoli dla siebie jak dzisiaj.

Paweł (wracając). Przepraszam!

Henryeta. Ha... to pan...

Paweł. Ale...

Henryeta. Pocóż pan wraca?

Paweł. Zostawiłem parasol mój pod ścianą... otóż jest.

Henryeta. Czy pan nie słyszał rozmowy naszej?

Paweł. Wcale nie...

Henryeta. Doprawdy? nic a nic...

Paweł. Może jedyne słowo...

Henryeta. Jakie?

Paweł. Jeśli przy bliższem poznaniu... a więc do jutra. (Wychodzi.)

KONIEC.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Pan Chmielowski, świeżo mianowany profesorem historyi literatury polskiej przy uniwersytecie warszawskim, wkrótce rozpocznie swoje wykłady, z wielką niecierpliwością przez wszystkich oczekiwane. Jednocześnie, z rozporządzenia Najwyższej Władzy, powiększone będą godziny nauki języka polskiego w gimnazyach realnych gubernii Warszawskiej.

*** Od lat kilku zarząd kościoła metropolitalnego ś. Jana czynnie zajmuje się odnawianiem wspaniałej tej świątyni, sprzętów i aparatów kościelnych. Niedawno w aktach kościelnych, mieszczących się w archiwum parafii ś. Jana, znaleziono kartkę niewiadomo przez kogo pisaną (o ile z pisma wnosić można, w końcu ubiegłego stulecia), na której podane są w treści ważniejsze zdarzenia dotyczące naszej katedry. Podajemy z niej parę szczegółów. „W kościele metropolitalnym odbyły się trzy synody. Pierwszy 1561 r. Na synodzie tym Stanisław Orzechowski miał mowę o godności stanu duchownego. Drugi synod odbył się w roku 1634, trzeci w 1643. W katedrze tej dopełniono koronacyi: Cecylii Renaty, żony Władysława IV, której zwłoki spoczywają w grobach królewskich na Wawelu a grobowiec przed parą laty odnowiony został kosztem cesarza Franciszka Józefa; Eleonory, małżonki Michała Korybuta, Stanisława Leszczyńskiego i żony jego, Katarzyny z Opalińskich, oraz Stanisława Augusta Poniatowskiego. Żaden z królów polskich nie spoczywa w grobach tego kościoła, a tylko wyprowadzono z niego zwłoki: Zygmunta-Augusta, Stefana Batorego, Zygmunta III, Jana Sobieskiego, oraz Augusta Sasa.

*** Poeta Gawiński pisał o paiży znalezionej w katedrze na Wawelu r. 1679, podczas restauracyi Kaplicy Krucyfiksu królowej Jadwigi, z której odkrycia wróżono Sobieskiemu zwycięztwo nad Turkami. Otóż obecnie profesor Łepkowski zestawił dowody że tarcza owa nie zaginęła ale jest zachowana w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie. Od Sobieskich przeszła do Radziwiłłów a następnie do Puław. Śliczny ten zabytek renesansowego wyrobu odzyskał więc znowu utraconą tradycyą, a sumienność uczonego profesora nie dozwala powątpiewać o jego autentyczności.

*** „Wiener Ztg." ogłosiła program konkursu na projekt pomnika mającego stanąć w tumie św. Szczepana w Wiedniu, z okoliczności dwóchsetnej rocznicy oswobodzenia Wiednia od Turków. Ma to być wielka, wspaniała budowa, tak aby mogły być zamieszczone postacie wszystkich tych historycznych osobistości, biorących udział w dziele odsieczy wiedeńskiej jako to: Jana Sobieskiego, króla polskiego; komendanta załogi wiedeńskiej, Rüdigera, Staremberga; burmistrza Liebenberga; przywódzcy ochotników złożonych z młodzieży akademickiej, Pawła Sorbait; biskupa Leopolda Kollonich; cesarza Leopolda, oraz sprzymierzonych z nim książąt rzeszy niemieckiej: Karola Lotaryńskiego; ks. bawarskiego i elektora saskiego.

Projekt może być sporządzony na podób wznoszących się w kościołach Ai frari i S. Giovanni et Paolo w Wenecyi (są to pomniki dożów); co do stylu, artyści powinni podawać swe projekta w stylu połowy XVII wieku. Pomnik ten ma być wykonany z delikatnego kamienia wapiennego, a koszta jego, bez fundamentu, nie mogą przenosić wyznaczonej na ten cel sumy, 50,000 złr. Ostateczny termin nadsyłania planów oznaczony jest na 15 kwietnia 1883 r. pod adresem kancelaryi towarzystwa artystycznego (Künstlergenossenschaft) w Wiedniu. Ministerstwo wyznań i oświaty wyznaczyło trzy premia dla prac najcelniejszych: pierwsza 2,000 złr., druga 1,500 złr. a trzecia 1,000 złr. Spodziewać się należy że i nasi artyści staną do konkursu.

*** Dzienniki angielskie podają wiadomość o śmierci Elżbiety Kożuchowskiej i pogrzebie jej, odbytym w Greenoche. Zmarła rodaczka nasza, będąc jeszcze dzieckiem, opuściła wraz z rodzicami kraj rodzinny. Przybywszy do Anglii, wszelkiego pozbawieni funduszu, rodzice jej utrzymy-

wali się z pracy rąk własnych. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, otrzymała wyższe wykształcenie, wskutku czego zdołała zdobyć sobie niezależność, a nie dość na tem odznaczyć się jako filantropka. Głównie poświęcała swe starania i zabiegi dla zakładów dobroczynnych, założonych dla wspomagania robotników, oraz wdów i sierot po nich pozostałych. Mieszkańcy Glasgowa zachowują w wdzięcznej pamięci zasługi rodaczki naszej, jakie położyła gorliwem staraniem się o dobro tamecznej klasy wyrobniczej, podniesienie moralności, powstrzymanie od upadku lub zwrócenie na dobrą drogę upadłych już kobiet. Nie mając do rozporządzenia znaczniejszych osobistych środków, umiała kołatać skutecznie do serc szlachetnych i odwoływać się do dobroczynności społeczeństwa, i stała się aniołem opiekuńczym biednej ludności. Liczny zastęp odprowadził jej zwłoki na wieczny spoczynek, a pamięć o niej długo żyć będzie w sercach biedaków, którymi tak troskliwie się opiekowała.

*** Przy przyjęciu we Lwowie Tonnera, posła czeskiego do rady państwa, Deotyma podając prelegentowi bukiet bratków, wypowiedziała śliczny wiersz, który tu podajemy według „Kuryera Warsz.":

Niech droga do nas kwiatem ci się ściele!
Oto dłoń Polki przynosi ci kwiatki:
Skromniutkie one, ale mówią wiele,
Bo to są bratki.

„Niech będą godłem tej odwiecznej zgody,
Która mgła żadna, daj Boże, nie zaćmi,
Niech zaświadczają, że nasze narody
Są sobie braćmi.

Więc twym rodakom powiedz głosem posła,
Że my pomnimy na przymierze stare,
Bo nam Dąbrówka przed wieki przyniosła
Prawdziwą wiarę.

Za ten skarb wdzięczność w sercach naszych [płonie,
I wdzięczność wieczna dla waszej ziemicy,
A nikt już głębiej nie nosi je w łonie,
Jak my lirnicy.

Bo z waszej ziemi przyleciały echa,
Co naszą lutnię zbudziły najwcześniej,
Wyście nam dali świętego Wojciecha,
Patrona pieśni.

Tegoż wieczora wyprawiono w sali kasyna miejskiego ucztę na cześć Tonnera. Na uczcie tej przemawiał najpierw p. Waleryan Podlewski, poczem muzyka zagrała narodową czeską melodyą, powitaną zagłuszającemi oklaskami. Prześliczną mowę Tonnera, nieustannie grzmiące przerywały oklaski. Później przemawiało kilku innych uczestników biesiady, a p. Aureli Urbański odczytał wiersz p. t. „Naród sobie" w końcu którego zwrócił mowę do Tonnera, w te słowa:

„Lwie Przemyślidów! choć w nierównym boju,
Zwyciężyć musisz wiarą, wiecznie młody!
Lwie czeski, w przyszłość spoglądaj w spokoju —
Wierzące nigdy nie giną narody!..."

Dr Julian Ochorowicz wniósł toast na cześć nauki czeskiej. Oto krótki ustęp z jego przemówienia: „Byłem jeszcze małym chłopcem, gdy już obijało się o uszy moje nazwisko Emanuela Tonnera, „naszego przyjaciela". Pozostał on wiernym swej idei i doczekał się jej uznania. Z właściwą narodowi swemu wytrwałością niósł pochodnię braterstwa i kochał nas zanim jeszcze umieliśmy na tę miłość zasłużyć. A niemała to zasługa życie całe pozostać wiernym ukochanej idei! Mylą się bardzo ci którzy mniemają, że związkami narodów kieruje tylko materyalna siła przemocy, bo badając przeszłość i dzieje ludzkości przekonywamy się, że jeden człowiek z ideałem w piersi, więcej waży na szali dziejów, niż stu zbrojnych żołdaków. (Głośne oklaski.) A takim jest i był zawsze Tonner..." — Dr. Marceli Madeyski zakończył przemówienia, uświęconym tradycyą toastem: Kochajmy się! „Bez toastu tego rozejść się nie możemy, powiedział p. M., bo kiedyż może nam być milszym jak dziś, gdy w murach grodu naszego podejmujemy tak czcigodnego gościa, którego życie całe jest jednym wyrazem pobratymczej miłości. Przybył do nas na chwilę strudzony pracami parlamentarnemi w chęci udziału i dopomożenia dokonaniu tak drogiego nam dzieła. Wzniosłym będzie ów pomnik nieśmiertelnego Adama, skoro w atomy spiżu i granitu spłyną ciepłe słowa zacnego Tonnera, jak jednością pracy podnosi się naród. My do tej pracy dołączmy uczucie bratniej miłości, i pod tem hasłem niech stanie pomnik wielkiego wieszcza polskiego... Na cześć takiej miłości której błogich skutków, daj Boże doczekać, wznoszę prastary toast, w zgromadzeniu naszem zapewnie ostatni, lecz oby zawsze pierwszy w dziejach! Kochajmy się!"

Tak serdeczne przyjęcie posła czeskiego we Lwowie nie podobało się strasznie większości centralistów wiedeńskich; widzą oni że coraz więcej tracą grunt pod nogami, że rzeczy się zmieniły i nie będą już mogli przewodzić w państwie, z krzywdą narodowości, mianowicie słowiańskich.

*** Wtorując obecnym sporom parlamentarnym w sejmie pruskim, „Norddeutsche Allg. Ztg." pozwala sobie humorystycznych wybryków przeciw Polakom. Ze swej strony polskie pisma poznańskie nie pozostają dłużne odpowiedzi. Siląc się na dowcip, „Norddeutscherka" zwraca się do uczonych niemieckich, a szczególniej do Mommsen'a z zapytaniem: czy według pojęć rzymskich augurów, biały orzeł nie zaliczał się czasem do „ptaków nieszczęścia". Na to odpowiada „Dziennik poznański" że redakcya „Norddeutsche Allg. Ztg" powinnaby wiedzieć z dziejów pruskich, iż czarny orzeł pruski wyrosł z łona i ze szczodrobliwości białego! że nowo-kreowany z mnicha krzyżackiego książę pruski Albrecht, przyjął na klęczkach na rynku krakowskim godło przyszłego swego państwa, (przedstawiające orła czarnego na tle białem) z rąk króla polskiego, Zygmunta I-go i że zarówno jak pruski orzeł czarny nie powinien zapominać pierwotnych dziejów swoich, tak i żyjący dziś pod jego skrzydłami publicyści, choćby tylko przez cześć i pamięć własnych swoich początków, nie powinniby odzywać się z lekceważeniem o białym. Tylko złego gatunku parweniusze zapominają i wypierają się swego pochodzenia.

Drobny to zatarg, jeden z wielu między organami niemieckiej i polskiej prassy, nie można przecież w żaden sposób zastosować tu przysłowia: „kto się czubi, ten się lubi". — Czubią się co prawda przy każdej sposobności—ale wolno wątpić że się lubią.

*** Trujące opium znajduje coraz więcej zwolenników w Nowym-Yorku. Coraz więcej powstaje tam zgubnych zakładów, w których się niem ludzie powolnie zabijają. Z najgłówniejszych jeden należy do niemieckiego socyalisty, Juliusza Schwab, drugi do Chińczyka, niejakiego Ay-Tung. Tung poprzednio utrzymywał pralnię, ale zmiarkowawszy że Amerykanie zaczynają smakować w ulubionym chińskim specyale, porzucił mydło dla fajek opiumowych. Urządził zakład swój w piwnicy; natłok gości jest nieustanny. W samym środku urządzona jest fajczarnia, a dokoła łóżka dla zwolenników. Chińczyk przygotowywa trujący narkotyk w obec gości przy lampkach olejnych; obok tego spożywają jakąś insfuzyą przyrządzoną na sposób chiński, bez cukru i bez mleka. Wszyscy prawie schodzący się tu amatorowie są dobrze ubrani i rodowici Amerykanie. Zachowują się spokojnie i przyzwoicie, i tylko po obumarłym, szklannym wyrazie oczu poznać można iż oddają się tak zgubnemu nałogowi. Niektórzy całe dnie spędzają w zakładzie, wydając na fajki i napój po parę dolarów dziennie. W knajpie opiumowej niemieckiego socyalisty zbiera się przeważnie motłoch.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Stefanii W. w Kopaczówce. Redakcya jak najregularniej co tydzień wysela numera pisma swego, o czem utrzymywana kontrola każdego przekonać może. Przy odebraniu prenumeraty natychmiast takowa wpisaną zostaje do odpowiedniej księgi, potem drukuje się adres na rok cały, i podług listy i ułożonych kolejno adresów ekspedyuje się Pismo co tydzień. Jestto więc podwójna kontrola, a nawet potrójna, bo gdyby wypadkiem prenumerator który opuszczony został z listy, to kartka adresowa pozostała bez naklejenia, błąd ten natychmiast wykaże:—gdyby znów jej brakło, to lista brak ten wyjaśni, a gdyby wreszcie Prenumerator, co prawie jest niepodobieństwem, i w liście i w adresie został opuszczony, to przypomni o tem cyfra ile do każdej stacy pocztowej odchodzi numerów, co przy ekspedycyi zawsze jest sprawdzane. Jeżeli więc po tak potrójnej kontroli, numer jaki nie dojdzie do miejsca swego przeznaczenia, to widać, że zginął gdzieś w drodze ale już nie z winy Redakcyi. Z tą samą bacznością wkładane są dodatki illustrowane do każdego numeru w końcu zaś jego mieści się zawsze zawiadomienie co się do niego dołącza. Gdy więc braknie którego, to i to z winy Redakcyi nie może nastąpić. Niech więc Pani raczy sprawdzić jakich dodatków niedostaje a zaraz z odebraną o tem wiadomością, takowe powtórnie przesłane zostaną. Nieporządki, które niesłusznie na karb Redakcyi włożone zostały, narażają ją na wielkie straty, zmuszając do przysposabiania stu numerów nad istotną potrzebę i sprowadzania tyluż dodatków z zagranicy przy dzisiejszym nizkim kursie, bardzo kosztownych. Numer 11 wysłano powtórnie.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 1 Апрѣля 1882 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 15, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

Kapitan Andinnian zatrzymał się w jednej z kopalni kamienia, wśród olbrzymich jego odłamów, i stał tam długo utkwiwszy wzrok w pieniące się morze, dręczony gorzkiemi myślami. O kilka może kroków od niego, pracował jego brat, obciążony kajdanami, pozbawiony nawet nadziei szczęścia na ziemi, zmuszony wyrzec się na zawsze wszelkich przyjemności życia. Karol, który jak większa część ludzi wrażliwych, był bardzo dbałym, o dobrobyt materyalny, drżał na samą myśl o tem co Adam musiał tu cierpieć i znosić.

— Zmuszony do ciężkiej i ciągłej pracy! skazany na najstraszniejszy niedostatek!... odłączony od rodziny! zawołał z jękiem boleści. O mój bracie gdyby...

Zadziwienie nie dozwoliło mu dokończyć. Z za wielkiego odłamu kamienia, leżącego trochę dalej, wysunęły się dwie osoby rozmawiające z sobą cicho. W kobiecie otulonej obszernym płaszczem, z twarzą osłoniętą gęstym krepowym woalem poznał Annę Hopley, służącą swej matki, drugą osobą był zapewnie któryś z dozorców, a zdawało mu się, że jest to ten sam nieznajomy, który parę dni temu był wieczorem u jego matki. Poszli dalej nie spostrzegłszy go wcale, on jednak przyjrzał im się dobrze.

Zrozumiał teraz wszystko. Matka starała się zaskarbić sobie przychylność tego dozorcy, aby przenosił jej listy i przesyłki do Adama; tak to wyjaśniało jej tajemnicze postępowanie. Ale czemuż w takim razie tak ukrywa się przed nim, przed swym synem?

Gdy wieczorem wrócił do domu, Anna Hopley ubrana jak zwykle, przyrządzała do herbaty.

— Zdaje mi się że spotkałem dziś Annę, rzekł do matki gdy pozostali sami.

— Być może, wychodziła z mego polecenia; odpowiedziała mistress Andinian.

— Byłem dziś na wyspie Portland, mówił dalej Karol, i tam ją właśnie spotkałem.

Mistress Andinnian która dolewała właśnie śmietanki do herbaty, upuściła garnuszek, ten się stłukł, a śmietenka wylała się na tacę.

— Byłeś na wyspie Portland? zawołała głosem zdradzającym najgłębsze przerażenie. *Na wyspie Portland?*

Karol wstał chcąc przywołać Annę, ale zatrzymały go ostatnie słowa matki. Widział że znów ją rozgniewał, ale nie mógł zrozumieć czemu to miał przypisać.

— Byłem tam dziś pierwszy raz, mamo, odpowiedział. Wybierałem się już nieraz, ale mi zawsze zabrakło odwagi.

— Jakże śmiałeś to uczynić?

— Mam zamiar być tam jeszcze, rzekł, — wyobrażając sobie że pytanie matki odnosi się do jego osobistej odwagi, — i, jeżeli to być może, otrzymać pozwolenie widzenia się z *nim.*

Blada twarz mistress Andinnian pobladła jeszcze bardziej.

— Nie pozwalam ci, Karolu, czy słyszysz? nie pozwalam ci udać się na wyspę Portland i starać się o pozwolenie widzenia się z Adamem. Boże miłosierny! mogliby się dowiedzieć że jesteś bratem!

— Cóż to znaczy? nie myślę zapierać się tego!... rzekł Karol.

Mistres Andinnian upadła na krzesło i wsparłszy ręce na stole patrzyła na niego z przerażeniem.

— Karolu, trzeba koniecznie abyś wyjechał ztąd jutro; jesteś tak ograniczonym że gotówbyś pójść *tam* znowu. Tegoby już tylko brakowało!... Pojedziesz jutro... tak być musi.

— Czemu nie chcesz mi zaufać, matko? zapytał niezdolny zrozumieć postępowania mistress Andinnian. Czy mogłabyś znaleźć lepszego powiernika, Adam zaś wierniejszego przyjaciela? Odgaduję w jakim celu Anna Hopley bywa na wyspie Portland; widziałem ją rozmawiającą z jednym z dozorców — o ile mi się zdaje, z tym nieznajomym mi człowiekiem, który parę dni temu był tu wieczorem — odgadłem natychmiast wszystko, i...

— Cicho!... cicho! szepnęła mistress Andinnian, spoglądając w około przerażonym wzrokiem, jak gdyby się obawiała ścian które ją otaczały. Nie mów o tem, Karolu... nie chcę... obawiam się usłyszeć coś więcej.

— Niechże będzie jak tego żądasz, matko, odpowiedział Karol dotknięty boleśnie taką nieufnością.

Mistress Andinnian zadzwoniła, a gdy Anna weszła, zapytała jej już spokojnie, czy ma jeszcze trochę śmietanki.

Po herbacie Karol wyjął z kieszeni gazetę którą przyniósł z miasta, a matka jego usiadła przy kominku i patrzyła zamyślona głęboko na dopalające się głownie.

Nagle huk armatniego strzału, dochodzący od strony wyspy, przerwał ciszę nocy. Karol nie zwrócił na to uwagi, ale mistress Andinnian zerwała się z krzesła z wyrazem niewysłowionego wzruszenia i trwogi.

— To był strzał armatni! czy słyszałeś Karolu?

— Tak, ale gdzież strzelają i w jakimże celu?

Mistres Andinnian nie była zdolna odpowiedzieć; stała nieruchoma jak posąg, z lekko uchylonemi ustami, z ręką wzniesioną w górę, w postawie osoby przysłuchującej się z natężoną uwagą. Anna Hopley otworzyła drzwi i stanęła na progu.

— Niech pani się uspokoi, zawołała, to nie *on.* To jakiś inny więzień ucieka; to nie może być *on;* plan jego ucieczki nie został jeszcze obmyślony.

Tymto sposobem Karol dowiedział się, iż strzelano na wyspie Portland, obwieszczając tym sposobem że jeden z więźniów uciekł, lub też usiłował uciec. Byłoby dla niego lepiej gdyby nie dowiedział się nic więcej, ale na nieszczęście odkrył jednocześnie rzeczywisty cel tajemniczych zabiegów matki; — nie szło jej o polepszenie materyalnego bytu Adama, lecz o ułatwienie mu ucieczki.

Kapitan Andinnian zbladł śmiertelnie poznawszy jej zamiary; zimny pot wystąpił mu na czoło. Wiedział że prawie wszystkie podobne usiłowania kończą się nieszczęśliwie; że uciekający zwykle toną, giną od kuli, lub, co najmniej, bywają schwytani. Pogrążony w rozpaczliwych myślach, spoglądał przed siebie błędnym wzrokiem, był przekonanym że Adam szukając wolności śmierć tylko znajdzie, i cała ta ucieczka wraz ze swemi strasznemi następstwami, stawała mu przed oczyma.

— Droga matko, rzekł cicho biorąc rękę mistress Andinnian, po oddaleniu się Anny, teraz dopiero zrozumiałem wszystko; dotąd wyobrażałem sobie, że starasz się tylko o sposobność przesyłania Adamowi różnych przedmiotów, któreby mogły choć trochę osłodzić przykre jego położenie. Tymczasem... A! to rzecz straszna!...

— Co cię znów napada?... zawołała mistress Andinnian; możnaby sądzić ze umierasz.

— Bo też ta wiadomość przejmuje mnie śmiertelną trwogą, i proszę Boga aby uchronił Adama od szalonej chęci ratowania się ucieczką.

— Dlaczegóż to, jeźli wolno zapytać? rzekła mistress Andinnian, zwracając na niego gniewem błyszczące oczy.

— Dziewięć razy na dziesięć, to śmierć!...

— Ale dziesiąty raz życie... wolność! zawołała z uniesieniem. Mój mężny Adam nie będzie zważał na niebezpieczeństwo.

Karol zasłonił ręką oczy. Jakkolwiek tysiące myśli snuło się bezładnie w jego umyśle zastanowił się pomimowolnie nad dziwną różnicą w zapatrywaniu się na rzeczy nawet między osobami połączonemi z sobą najściślejszemi węzłami. Oto naprzykład, matka jego wynosi pod niebiosa zamiar ucieczki, jakby szło o spełnienie jakiegoś bohaterskiego czynu, gdy on przeciwnie zastanawia się tylko nad skutkami podobnego przedsięwzięcia. Niepodobna obiecywać sobie dobrych, muszą być zgubne. Przypuszczając nawet że Adam będzie szczęśliwszym od innych, że odzyska wolność, to jakaż ona będzie? Czekałoby go nędzne życie zdala od ludzi, ciągłe ukrywanie się przed policyą, nieustanna obawa aby nie zostać odkrytym. Słowem być ciągle ściganym jak zwierzę, nie mieć jednej spokojnej chwili, być zmuszonym unikać swych bliźnich, gdyż każdego w takim razie trzeba się obawiać jak wroga. Nie! nawet to straszne więzienie, znośniejszem byłoby od takiej wolności.

— Życzysz sobie zapewnie aby pozostał tam na zawsze, i abyś zajął jego miejsce w Foxwood? rzekła miss Andinnian gorzkim i pogardliwym tonem.

Te słowa zraniły boleśnie serce Karola, dla tego też odpowiedź jego była nacechowana goryczą i smutkiem graniczącym z rozpaczą.

— Byłoby stokroć lepiej, matko, gdyby żaden z nas nie był ujrzał świała dziennego. Gdybym ofiarą własnego życia mógł wrócić Adamowi utracony honor i wolność, uczyniłbym to chętnie... Nic mi już prawie nie pozostało na świecie.

Karol wyrzekł te słowa z wyrazem tak bezmiernej boleści,iż zwróciło to uwagę mistress Andinnian; nie zdawało jej się aby hańba spadająca na jego nazwisko, mogła być jedynym tego powodem. Karol uwiadomił ją wtenczas co mu na zawsze zatruło życie opisał jej swą miłość i swe rozłączenie z Łucyą Cleeve. Mistress Andinnian uznała że jest to rzeczywiście rzeczą nader przykrą, ale była widocznie zbyt silnie zajęta czem innem, aby mogła długo zastanowić się nad podobną drobnostką.

Następnego dnia, los więźnia usiłującego uciec był już znany wszystkim, został schwytanym. Człowiek ten raz już chciał się wyswobodzić ale równie bezskutecznie.

— Źle obmyślił plan ucieczki, powiedziała obojętnie mistress Andinnian.

Nie nalegała już aby Karol wyjechał; wiedział o wszystkiem, a była pewną że jakkolwiek był przeciwnym jej zamiarom, nie będzie jej przeszkadzał. Nie dotykano już tego przedmiotu, gdyż mistress Andinian unikała tego starannie. Tak upłynęło kilka dni, i Karol zaczął przypuszczać, że jeźli ostatnia niepomyślna próba ucieczki nie odwiodła stanowczo jego matki od powziętego zamiaru, to przynajmniej skłoniła ją może do odłożenia go na później. Jednak tajemne jej rozmowy z Anną Hopley trwały ciągle, i parę razy tenże sam dozorca, czyli człowiek którego brał za dozorcę, wchodził do niej pokryjomu wieczorem.

VII.

W hotelu Charing-Cross.

Pierwszego listopada, dzień Wszystkich Świętych—był tak jasny, tak piękny, jakby nietylko ziemia ale i niebo chciało uczcić swych wybrańców. Kapitan Andinnian pożegnał matkę i wyjechał do Londynu. Potrzebował porozumiéć się z PP. Plunkett et Plunkett, zajmującymi się już od lat wielu interesami całej jego rodziny. Ponieważ bióro ich było w pobliżu Temple, stanął w hotelu Charing-Cross.

Gdy wyszedł po południu od pp. Plunkett et Plunkett, potrącił przy rogu Essexstreet jakiegoś gentlemana. Zaczął go przepraszać i zatrzymał się nagle poznawszy pułkownika Cleeve.

Zamiast minąć go w milczeniu, jak to Karol przypuszczał, pułkownik zatrzymał się i podał mu przyjaźnie rękę. Nie miał do niego żalu z powodu Łucyi, gdyż był przekonanym że przestała już myśléć o nim, i że prawdopodobnie Karol zapomniał o niej także, zatem dobre jego serce nie pozwoliło mu postąpić inaczej.

— Sprzedałeś swój stopień, kapitanie Andinnian. Bardzo... bardzo ubolewałem nad powodami które zmusiły cię do tego. Możesz być przekonanym o mojem szczerem współczuciu.

Karol sam nie wiedział co odpowiedział, wiedział tylko że starał się podziękować za okazaną mu życzliwość.

— Nie zdajesz się zupełnie zdrowym, odezwał się znów pułkownik spoglądając na Karola, który w czarnem cywilnem ubraniu wydawał mu się bledszym i szczuplejszym niż był dawniej. Przebyłeś ciężką próbę, panie Karolu.

— Tak, bardzo ciężką, pułkowniku! Są nieszczęścia których nic złagodzić nie może, a moje zaliczają się do tych właśnie. Dziękuje panu za okazane mi współczucie.

— Masz zupełną słuszność, zawołał pułkownik z żywością. Nie możesz sobie wyobrazić jak wszyscy twoi dawniejsi koledzy żałują że byłeś zmuszonym ich opuścić.

Ścisnęli się znów za ręce, i pułkownik poszedł dalej, a Karol wrócił do hotelu. Na korytarzu drugiego piętra spotkał młodą osobę przechodzącą z jednego z salonów do pokoju znajdującego się naprzeciwko. Cofnął się ustępując jej z drogi, wtenczas zwróciła się ku niemu, i spojrzeli na siebie.

— Łucya!

— Karol!

Ten okrzyk radości z zadziwienia wyrwał się z ich ust jednocześnie, zanim zdołali pomyśléć gdzie się znajdują i w jakiem są względem siebie położeniu. Zapewnie, wierni swemu zobowiązaniu, starali się zapomniéć o sobie, ale to nieprzewidziane spotkanie przekonało ich że te usiłowania były bezskuteczne. Wprawdzie w ich umyśle przesunęła się szybko myśl że obowiązek nakazywał im rozejść się natychmiast, ale któż nie zna słabości serca ludzkiego? przechodziło to ich siły, i stali obok siebie, trzymając się za ręce. Zresztą trwało to zaledwie chwilę; Łucya, która zdawała się bardzo cierpiącą i osłabioną, wysunęła rękę i wsparła się o drzwi. Karol stał przed nią.

— Spotkałem przez chwilą na ulicy pułkownika Cleeve, ale sądziłem że sam tylko przybył do Londynu. Czy pozostaniecie tu długo?

— Do jutra, odpowiedziała oddychając z trudnością. Przyjechaliśmy wczoraj. Ojciec mój stanął w tym hotelu dla tego że stoi blizko dworca kolei do Folkestone. Matka przyjechała także.

— Zdajesz się bardzo osłabioną, Łucyo!

— Tak. W lecie chorowałam długo i ciężko i dotąd jeszcze nie mogę sił odzyskać. Jedziemy właśnie do Paryża dla zmiany powietrza; ale i ty także nie zdajesz się zupełnie zdrowym, dodała.

— Nie przebyłem wprawdzie gorączki, ale przeszedłem ciężką próbę.

— Ah! Karolu, jakże ja to odczułam boleśnie odpowiedziała z żywością. Nie znałam twego brata, ale... ale zdawało mi się że ten straszny cios był dla mnie równie dotkliwym jak dla ciebie. Zdaje się że osłabienie czyni nas daleko wrażliwszemi...

— Słusznie powiedziałaś, Łucyo, że był to cios *straszny*, nikt nie zdoła pojąć ile przecierpiałem.

Patrzyli na siebie z żywem współczuciem: łagodne ciemne oczy Łucyi, wyrażały tkliwe politowanie; w siwych oczach Karola malował się głęboki żal i smutek. Łucya podała mu sama rękę, tak jak wówczas gdy żegnali się po raz ostatni, i szepnęła pocieszającym tonem.

— Czas złagodzi twą boleść, Karolu.

Wstrząsnął powątpiewająco głową ujmując jej rękę.

— Dopiero po tym nieszczęsnym wypadku wspomnienie o... o tem co zaszło w Winchester, stało się mniej gorzkiem dla mnie. Położenie moje byłoby gorszem jeszcze, gdybyś... gdyby jakieś zobowiązanie łączyło cię ze mną.

— Nie, Karolu, nie pogorszyłoby to twego położenia, gdyż w takim razie dołożyłabym wszelkich usiłowań aby nieszczęścia twoje stały się dla ciebie mniej dotkliwemi.

— Ukochana moja Łucyo!...

Zaledwie wymówił te słowa, przypomniał sobie że tak honor jak przyrzeczenie dane pułkownikowi, nakazywały mu powstrzymać się od wszelkich objawów przywiązania, i że nawet, jeżeli chciał zastosować się ściśle do przyjętego zobowiązania, nie powinien przedłużać tej rozmowy.

— Przebacz mi, Łucyo, rzekł puszczając jej rękę dotąd spoczywającą w jego dłoni.

Zrozumiała go, i lekki rumieniec pokrył blade jej lica: wszakże i ona także zapomniała o swej obietnicy.

— Bóg z tobą, Łucyo, szepnął Karol. Bądź zdrowa!

— O! zostań jeszcze chwilkę, Karolu, zawołała niespokojnie, sama nie wiedząc co mówi, tak przerażona myślą że może go już nigdy nie zobaczy. Chcę ci tylko powiedziéć że nie zapomniałam o tobie, i nie zapomnę nigdy.

— Niech cię Bóg błogosławi, Łucyo, rzekł głęboko wzruszony; niech cię Bóg błogosławi i zdrowie ci wróci.

Pożegnawszy się uściśnieniem ręki, rozstali się z sobą, a świat cały stał się znów dla nich martwym i bezbarwnym.

W kilka godzin później, Karol usłyszał przypadkiem przy *Coffee room*, jakieś nieznane sobie osoby, rozmawiające o wyjeździe pułkownika Cleeve wraz z żoną, córką i dwojgiem służących na stały ląd, gdzie mieli zabawić długo, dla poratowania zdrowia córki która przebyła ciężką gorączkę. Te osoby nie domyślały się wcale, że stojący obok nich młody człowiek w żałobie, który przyszedł zasięgnąć tam jakiegoś objaśnienia i czekał na odpowiedź, stał się przyczyną (wprawdzie pomimowolną) tej gorączki która tak nadwątliła zdrowie miss Cleeve.

Nazajutrz Kapitan Andinnian kazał podać sobie śniadanie do swego pokoju; gdy już siadał do stołu, garson przyniósł mu gazetę; rozkładając ją zapytał o ile mógł najobojętniej:

— Czy państwo Cleeve już wyjechali?

— Tak, panie. Wyjechali przed chwilą do Folkestone. Szynka, jaja, polędwica z pieczarkami, mówił dalej ustawiając na stole.

— Dziękuję; możesz odejść.

Ale zaledwie służący zamknął drzwi za sobą, z piersi Karola wydarł się krzyk przerażenia, krzyk bolesny, rozpaczliwy. Podskoczył na krześle, wpatrując się błędnym wzrokiem w paragraf zaczynający się od słów wydrukowanych większemi literami:

„Zamiar ucieczki z wyspy Portland. Śmierć więźnia, sir Adama Andinnian."

Gazeta wysunęła mu się z ręki, głowa opadła na piersi. Nie miał odwagi czytać dalej, prosił tylko Boga aby to nie było prawdą.

Niestety! była to wiadomość prawdziwa. Dwóch więźniów usiłowało uciec jednocześnie; sir Adam Andinnian i drugi nazwiskiem Cole. Zdołali dostać się na brzeg morza, i odpłynęli małą łódką którą ktoś przygotował już dla nich. Kilku dozorców wsiadło do łodzi i puścili się za nimi w pogoń; ścigani długo wśród nocnych ciemności, zostali nakoniec dopędzeni w pobliżu Weymouth. Sir Adam został zabity wystrzałem z pistoletu; łódka się przechyliła i jeden z dozorców utonął; zdaje się że Cole zdołał uciec.

Tak opisywano w dzienniku ten bolesny dla Karola wypadek, a jakkolwiek podrzędne szczegóły były niedokładnie opisane, jednakże główny fakt nie podpadał wątpliwości: Adam Andinian utracił życie.

— Przeczuwałem to od pierwszej chwili, jęknął Karol. Ciągle niepokoiło mnie przekonanie że tak skończy.

W kilka minut później jakiś gentleman wszedł do jego pokoju; był to pan Plunkett trzymający w ręku ostatni numer Times'a. Rozłożony dziennik leżał na stole przed kapitanem Andinnian, którego twarz zdradzała głębokie i bolesne wzruszenie, gdy wstał dla powitania przybywającego.

— Widzę że pan już wie o wszystkiem, rzekł pan Plunkett siadając. Jakże to straszny wypadek!

— Czy... czy pan nie sądzi ze mogłaby to być fałszywa wiadomość, zapytał Karol takim tonem jakby go prosił o podtrzymanie w nim tej nadziei.

— Trudno to nawet przypuścić, przynajmniej o ile dotycze głównego faktu, to jest śmierci sir Adama Andinnian, odpowiedział prawnik bez wahania. Nie pojmuję jak można, będąc przy zdrowych zmysłach, narażać się na podobne niebezpieczeństwo.

Karol milczał ukrywszy twarz w dłoniach.

Jeżeli mam wyrazić szczere moje przekonanie, mówił dalej pan Plunkett, to muszę wyznać że według mego przekonania, sir Adam nie był zupełnie zdrowym na umyśle. Przypuszczałem to już do-

wiedziawszy się że zastrzelił Marcina Scott,—ale chcieć uciekać z wyspy Portland, to już wyraźny objaw obłąkania.

— Nie, panie Plunkett, można to uważać za lekkomyślność, za zbytnią śmiałość, ale nie jest to jeszcze dowodem obłąkania.

— Narzucając dziś panu moją obecność, uległem chęci wynurzenia mu mojego współczucia, oraz chcąc zapytać czy nie mogę być panu użytecznym, kapitanie Andinnian. Przepraszam.... wypadało powiedzieć sir Karolu. Jeżeli...

Karol spojrzał na niego z wyrazem smutku i niezadowolnienia, i pan Plunkett nie dokończył.

— Bądź co bądź, jesteś pan obecnie sir Karolem, odezwał się znów po chwili.

— Jest to dla mnie bolesne przypomnienie.

— Odziedziczyłeś po bracie tytuły, dobra, majątek, słowem wszystko.

— Tak, tak, wiem o tem.

— A więc, jeżeli tylko możemy ci być użytecznymi, sir Karolu, mówił dalej prawnik, czy to tam— tu wyciągnął rękę w kierunku wyspy Portland, czy też w Foxwood, oddajemy się całkiem na twe usługi. Zechciej wierzyć, sir, że nie mam na celu osobistego interesu, mówię tu o przysługach zupełnie bezinteresownych, dodał pan Plunkett. Ale nie śmiem nalegać dłużej... widzę, sir Karolu, że jesteś jeszcze zbyt wzruszonym.

— Tak, ten cios odurzył mnie zupełnie, odpowiedział Karol, ale dziękuję panu szczerze za jego życzliwe dla mnie chęci. Mam zamiar dziś jeszcze pośpieszyć do matki.

Pan Plunkett wyszedł i Karol pozostał sam przy stole nakrytym do śniadania, ale, na nieszczęście, stracił apetyt nie tylko na ten dzień cały lecz i na wiele innych. Kazał sobie przynieść rachunek, zapłacił go i wyjechał.

Niepodobna sobie wyobrazić równego przerażenia, równej rozpaczy jak ta której świadkiem był Karol po przybyciu do Weymouth. Duma po raz pierwszy opuściła mistress Andinnian; upadła na kolana przed synem, pytając czemu nie starał się usilniej odwieść ją od tego zgubnego zamiaru, czemu nawet nie uwiadomił o nim nadzorcy więzienia, byłby tym sposobem uchronił brata od śmierci. Był to dla Karola widok rozdzierający serce.

Wiadomość zamieszczona w dziennikach była dokładna, co do głównych faktów. Adam Andinnian i dozorca utracili życie; pierwszy zginął od kuli, drugi utonął.

Zgodzono się na wydanie rodzinie zwłok Adama, ale Karol nie wiedział, czy to było rzeczą zwykłą, czy też mistress Andinnian łaskę tę wybłagała sobie wyjątkowo. Z jednej strony przynosiło mu to pewną pociechę, ale z drugiej, uznawał że byłoby właściwiej, gdyby pogrzeb odbył się w Weymouth, cicho i bez wszelkiej okazałości. Mistress Andinian nie podzielała tego zdania; postanowiła przewieźć zwłoki swego nieszczęśliwego syna do Foxwood, i posłała tam natychmiast Karola, aby poczynił potrzebne przygotowania.

Nazajutrz po przybyciu Karola do Foxwood, mistress Andinnian przywiozła tam ciało sir Adama. Nie miała siły rozłączyć się z ukochanym synem, nawet po jego śmierci.

— Chciałbym go widzieć, rzekł smutnie Karol, kładąc rękę na trumnie.

— Widziałam go, Karolu, rzekła zanosząc się od płaczu. Otrzymałam na to pozwolenie, ale strzał zmienił strasznie jego rysy, [poznać go nie można.

Prócz nich i Hewitt'a nie było nikogo więcej na pogrzebie. Ciało złożono w rodzinnym grobie na cmentarzu w Foxwood, obok sir Józefa i żony jego.

Jakiż to smutny koniec dla człowieka w kwiecie wieku, zaledwie kilka miesięcy temu pełnego życia, zdrowia i nadziei! Ale według zdania osób obojętnych, było to jeszcze najlepszem dla niego.

VIII.

Przy ulicy d'Antin.

Był to pierwszy dzień roku, słońce przyświecało jasno. Wesołe tłumy snuły się po bulwarach, lub stojąc przed wystawkami sklepów, przyglądały się kosztownym przedmiotom, mającym służyć na noworoczne podarunki. Kobiety zwracały baczną uwagę na toalety innych kobiet, mężczyzni zdejmowali tak często kapelusze, że byłoby im wygodniej nosić je ciągle w ręku; dzieci postrojone fantastycznie, szczebiotały z matkami, oglądając się na wszystkie strony. Wszyscy zdawali się myśléć tylko o przyjemnościach i zabawie, co stanowi charakterystyczną cechę Paryżan.

Wśród tego tłumu przechadzał się obojętnie młody człowiek, z postawą pełną dystynkcyi, z twarzą piękną i miłą zarazem, w którym już na pierwszy rzut oka, łatwo było poznać Anglika. Ubrany był zupełnie czarno, a na jego twarzy malował się głęboki smutek. Młode panie spoglądały z upodobaniem i wrodzoną Francuzkom zalotnością na pięknego cudzoziemca, i starając się odgadnąć po kim nosi załobę; on szedł obojętnie dalej, nie domyślając się nawet że ktoś zwracał na niego uwagę. Był to sir Karol Andinnian.

Wkrótce po pogrzebie nieszczęśliwego Adama, mistress Andinnian zmęczona, złamana smutkiem, zamknęła się w swych pokojach w Foxwood, gdzie już stale zamierzała mieszkać. Karol nie widywał prawie matki; nie schodziła nawet na obiad, który równie jak śniadanie i herbatę, kazała sobie przynosić do swego pokoju.

— Może mama życzy sobie abym wyjechał z Foxwood? zapytał pewnego dnia.

— Tak, pragnęłabym pozostać zupełnie sama, odpowiedziała. Foxwood jest dziś twoją własnością, Karolu, i pomyślisz zapewnie że nie mam prawa objawiać ci życzenia abyś go opuścił na czas jakiś; ale zdaje mi się że tylko pozostawiona sam ej sobie, zdołam może odzyskać trochę siły i spokojności umysłu. Twoja obecność zniewala mnie do zadawania sobie przymusu.

Karol był bardzo zadowolnionym z tej odpowiedzi; pragnął podróżować, sądził że zmiana miejsca i otoczenia rozerwie go choć trochę i tylko z obawy aby matka nie posądziła go o brak przywiązania, lękał się wspomnieć jej o tem. We dwadzieścia cztery godzin po tej rozmowie opuścił Foxwood.

Nie mógł jednak wyjechać natychmiast z Anglii nie załatwiwszy pierwej interesów [dotyczących Foxwoodu. Gdy przybył do Londynu, panowie Plunkett et Plunkett oświadczyli mu że obecność jego będzie niezbędną jeszcze czas jakiś. Z powodu zbrodni popełnionej przez sir Adama, prawie zaraz po śmierci stryja, wiele ważnych interesów musiało pozostać w zawieszeniu. Trzeba było, także dopełnić wiele formalności, i tym sposobem Karol Andinnian zniewolony był zatrzymać się w Londynie dłużej niż sobie życzył; dopiero po upływie paru tygodni mógł przepłynąć morze i udać się do Wiednia, gdzie pojechał najpierwej. [Powodem tego pierwszeństwa okazanego stolicy Austryi, był pobyt w niej najlepszego przyjaciela i dawnego kolegi Karola, kapitana Lamprey, który pozostał mu wiernym w nieszczęściu. Kapitan Lamprey ożenił się niedawno, przepędzał w Wiedniu miodowy miesiąc, i pisząc do Karola, prosił, aby przybył tam także. Sir Karol zastosował się do tego życzenia. Urlop kapitana kończył się w końcu grudnia, wracał więc do Anglii na święta Bożego Narodzenia, a Karol odprowadził go aż do Paryża. Mistress Andinnian, gdy syn zapytał jej listownie, czy nie życzy sobie aby wrócił do niej na święta, odpowiedziała krótko i bez ceremonii *nie*.

Takim to sposobem znajdował się w Paryżu. Mało go obchodziło czy pozna pierwej to lub owe miasto, wszakże szukał tylko spokoju. Tyle już przecierpiał w życiu, wspomnienie Łucyi takim niepokojem napełniało jego serce, a byli teraz rozłączeni z sobą w całem znaczeniu tego wyrazu. Kapitan Lamprey odebrał list z Winchester od jednego z przyjaciół, który mu donosił że państwo Cleeve wyjechali na zimę do Egiptu. Karol nie wiedział sam jeszcze gdzie się ma udać; jednak pociągały go najwięcej ku sobie miasta posiadające sławne galerye obrazów, i zamierzał zwiedzić je wszystkie. Posiadał prawdziwe poczucie artystyczne, i obecnie jedynie przyglądając się mistrzowskim dziełom pendzla lub dłuta, zapominał chwilowo o swoich cierpieniach.

Szedł wolno przez bulwary. Niekiedy wzrok jego zatrzymywał się z wyrazem żalu i smutku na świetnych wystawach sklepowych; tak pragnąłby cóś kupić i miéć komu ofiarować noworoczny upominek. Niepodobna czuć się bardziej osamotnionym jak to uczuwał w tej chwili kapitan Andinnian.

Jakże zdrowie, sir Karolu? mamy dziś czas przepyszny!

Karol odpowiedział potwierdzająco, ukłonił się i poszedł dalej. Był to zaledwie mu znany Anglik, przyglądający się wraz z córkami przedmiotom umieszczonym w oknach, nie pomijając żadnego sklepu.

Wrócił prosto do swego mieszkania w hotelu Montaigne, przy ulicy Montaigne. Gdy przechodził przez dziedziniec oddano mu listy z Anglii, jeden z nich był od kapitana Lamprey, drugi od PP. Plunkett et Plunkett. W żadnym z nich nie było ani zajmujących wiadomości, ani życzenia szczęścia na rok następny, ale bo też na cóżby się to zdało? Alboż on mógł być szczęśliwym?

Wyszedł znów z domu i poszedł ku Polom-Elizejskim. Była już pierwsza po południu, a więc najświetniejsza chwila w dniu całym. Zdawało mu się że w jednym z okien pałacu Tuileries dostrzegł cesarzową, i prawie jednocześnie nadjechał książę cesarski wraz ze swą eskortą.

Pola Elizejskie przedstawiały się w tym dniu bardzo świetnie. Dzieci postrojone w atłasy i aksamity, bawiły się na słońcu pod dozorem bon przybranych świątecznie. Wiadomo, że we Francyi Nowy Rok i dzień Wszystkich Świętych są to dwie epoki w roku przeznaczone na wystawę strojów. Piękne panie zręcznie i lekko jak motyle przesuwały się to w tę to w ową stronę. Karol zwrócił przypadkiem oczy na ustronną ławeczkę, zajętą przez dwie damy. Zatrzymał się pomimowolnie, a serce jego zadrżało radośnie: poznał w nich mistress Cleeve i Łucyę.

Ale, niestety! jakże Łucya strasznie była zmieniona! Teraz znów głęboka boleść przeniknęła duszę Karola: twarz jej nadzwyczaj zeszczuplała i zbladła, czarna obwódka podkrążała oczy, a usta były tak blade jakby z nich już uleciało życie. Karol zadawał sobie pytanie czy nie mógłby zbliżyć się i zapytać o jej zdrowie, ale przypomniał sobie co przyrzekł pułkownikowi Cleeve.

Nie spostrzegły go, patrzyły w inną stronę, na bawiące się wesoło dzieci. Karol postanowił przejść koło ławeczki i powitać je w takim tylko razie, jeżeliby zwróciły na niego uwagę.

Przeszedł nie spostrzeżony. Mistress Cleeve patrzyła ciągle na dzieci, a Łucya spuściła głowę i wsparła czoło na ręce, jakby brak sił nie dozwalał jej siedzić prosto. Karol poszedł dalej smutny i pognębiony.

— Dzieńdobry panu.

To powitanie wypowiedziane z wyrazem zadziwienia i zadowolnienia, wyszło z ust starannie ubranej Francuzki, z rumianą twarzą i żywemi oczyma. Karol zatrzymał się i poznał w niej niegdyś piastunkę a obecnie służącą Łucyi

— To ty, Agnieszko?

— Tak, sir, w mej własnej osobie.

— Zdaje mi się że widziałem przed chwilą mistress Cleeve i miss Łucyę. Nie wiedziałem że są w Paryżu.

— O! przyjechaliśmy tu już dawno, i mieszkamy niedaleko ztąd, przy ulicy d'Antin. Nie umiem panu wypowiedzieć jak mnie to cieszy że znajduję się w moim kraju, gdzie nie potrzebuję nosić tego strasznego kapelusza, który tu ściągałby na mnie uwagę uliczników.

— Mówiono mi, że pułkownik Cleeve wyjechał z rodziną na zimę do Egiptu.

— Mieliśmy tam jechać rzeczywiście, ale młoda moja pani, miss Łucya, jest zbyt słabą aby mogła odbyć taką podróż.

— Cóż jej jest? zapytał Karol o ile mógł najobojętniej.

— Co jej jest? A! trzebaby o to zapytać jej serca, zawołała z gwałtownością dowodzącą głębokiego niezadowolnienie z istniejącego stanu rzeczy. Żródło jej cierpienia jest w sercu, i jeżeli nie zaradzą temu śpieszńie, wkrótce pożegna ich na zawsze. Objawiłam panu szczerze moje zdanie, a może pan być pewny że nie mówiłabym tego, nie będąc pewną że się nie mylę. *(D. c. n.)*

STRASZNA NOC.

PRZEZ

K. ROBERT.

(Dokończenie.)

Zamilkła chwilę, poczem mówiła dalej:

— Byłeś pan istotnie natchnionym, mówiąc mi: „Albertyno, musisz być moją bo i ty mnie kochasz." Jakkolwiek dziwną i zgubną jest ta miłość moja, jednakże istnieje. Owładnęła mą duszę jak owe wieczorne błyskawice które nie poprzedzone żadną zapowiedzią burzy, odrazu całą ogarniają przyrodę. Widać nie jestem stworzona do cichego życia i spokojnych uczuć jakie mnie otaczały; potrzebowałam innego szczęścia, miłości gwałtownej i burzliwej, choćby ją równie gwałtownemi cierpieniami okupić przyszło. Słusznie więc powiedziałeś pan że mocą takiego uczucia *należę do ciebie.* Tak, czuję się ściśle złączoną z tobą niż gdyby łączyły nas wszelkie prawem uświęcone węzły. Czuję że cała istota moja nierozerwalnie złączona jest z twoją; że odtąd nic mnie odłączyć od ciebie nie zdoła, że dobrowolnie podzielać będę tułacze twoje życie, dnie pełne znużenia, noce brzemienne rozlicznemi niebezpieczeństwami, życie upływające na nieustannem ukrywaniu się, bez dachu i schronienia wśród puszcz, wąwozów i niedostępnych lasów... Tak czuję że z rozkoszą podzielać będę wszystko co srogi los zgotuje tobie... wszystko co dotknąć może człowieka pomiatającego prawem ludzkiem i Boskiem... choćby rozgłos skandalicznej kryminalnej sprawy, choćby kajdany i rusztowanie, na którem—straszno pomyśléć—umiera się podwójnie, bo zostawiając po sobie pamięć hańbiącą; obciążoną przekleństwem swoich ofiar!... Wiem to, pojmuję całą grozę tej fatalnej miłości, a jednak czuję się bezgranicznie szczęśliwą, mogąc zawołać: Bartolu, kocham cię!.. kocham!... Oto co miałam ci powiedzieć.

Wypowiedziawszy to, Albertyna, czy to że wracając do zwykłego usposobienia, sama przeraziła się swej śmiałości, czy też chciała aby ochłonąwszy z zadziwienia Bartol mógł napawać się swem nadspodziewanem szczęściem, dość że prędko wybiegła z polanki. Pozostawiła tu jednak całkiem inne wrażenie niż należało się tego spodziewać.

Trzej mężczyźni pozostali w leśnej ustroni, stali odurzeni, jakby rażeni piorunem, oto jedyne uczucie jakie zdradzała ich postawa.

Albertyna weszła do swego pokoju; teraz jednak obojętnie spoglądała na brudną i ciasną izdebkę. Spokojna, wolna zupełnie od przestrachu miotają cego ją w nocy, spojrzała wesoło na nienaruszone drzwi i ściany i roześmiała się nawet głośno na myśl, jakiego strachu nabawiły ją szczury uwijające się po schodach i pod drzwiami i wybornie odgrywające rolę czających się morderców.

Pomimo tej świeżo pozyskanej mocy duszy, i tej jednak nocy nie myślała położyć się do łóżka. Stanęła przy okienku wychylając głowę małym jego otworem.

Po niejakimś czasie dostrzegła jakąś ciemną postać, chodzącą tam i napowrót po pobliskiej ścieżce. Odgadła i poznała w nim zarazem jednego z towarzyszy Bartola zamaskowanego i owiniętego długim płaszczem.

Prosta rzecz że przywódzca bandytów kazał odbywać straż około miejsca w którem noc przebywał; tak więc nie obecność tego człowieka ale niespokojny chód jego, rozpaczliwe jakieś ruchy i nagłe zatrzymywanie się mogły zwracać uwagę. Wyraźnie zostawał pod wpływem gwałtownego miotającego nim niepokoju; już to wdrapywał się na strome skały, już zapuszczał w wąwozy, oddalając się daleko dalej niżby powinien od miejsca powierzonego jego straży.

Ów zamaskowany człowiek całą noc błąkał się po górach; Albertyna całą noc śledziła go wzrokiem.

Nazajutrz równo ze świtem wszystko gotowe było do odjazdu. Albertyna, Bartol i jeden z jego ludzi wyszli z oberży. Gospodarz, żona jego i cała rodzina wyprowadzili na podwórze bogatych podróżnych, kłaniając się uniżenie i cofając z czapkami w ręku, poczem znikli jak owe widma rozbójników które biedną dziewczynę takiego nabawiły strachu.

Powóz czekał na drodze z Lugdunu do Genewy; Bartol oczekiwał przy otwartych drzwiczkach aby podać rękę Albertynie; jeden z jego towarzyszy trzymał konie; upłynęło kilka minut zanim nadszedł drugi.

Prócz naszych podróżnych, na całej drodze nikogo widać nie było.

Opóźniony towarzysz Bartola podbiegł prędko do powozu, oddał Albertynie jakiś złożony papier poczem chciał oddalić się równie prędko jak przyszedł.

— Proszę pozostać, rzekła Albertyna.

Powiedziała to tak stanowczo rozkazującym głosem, iż stanął jak przykuty. Zamiast wsiąść do powozu, Albertyna cofnęła się od drzwiczek, i podnosząc głowę rzekła pewnym głosem, patrząc na nich śmiało.

— Dość już tej komedyi! Ty zamaskowany panie, nie jesteś wcale rozbójnikiem należącym do szajki głośnego bandyty, ale moim kuzynem, Fryderykiem Laforêt; zdejm więc maskę pod którą dusisz się daremnie. Pan zaś, dodała zwracając się do mniemanego przywódzcy bandy, nie jesteś Bartolem awanturnikiem i rabusiem, ale panem Canoville, podprokuratorem sądu królewskiego w Lugdunie.

Obaj młodzi ludzie nie mogli powstrzymać okrzyku zadziwienia; stali oniemieli, Fryderyk spuścił głowę.

— Nie wiem tylko kto jest ów trzeci co nas pozwolił.

— Mój służący, odrzekł z ukłonem pan Canoville.

— Ależ jakim sposobem mogłaś dowiedzieć się?... wyjąkał Fryderyk.

— O! mój panie, rzekła Albertyna, przebrałeś się wybornie, ale należało pamiętać o tem aby zdjąć z palca ten emaliowany pierścionek.

I wskazała dany mu przez nią zaręczynowy pierścionek.

— A! prawda!... jakżem nieuważny!... Ale jakże mogłaś poznać przyjaciela mego Canoville'a którego nigdy nie widziałaś?

— Wszakże nie raz mówiłeś mi że przyjaciel twój podprokurator, śpiewał zawsze wielką aryę z *Czarnego domina* i zawsze fałszował w trzecim takcie.

— Ah! więc tak mówiłeś o mnie, Fryderyku? zawołał pan Canoville przygryzając usta.

— To też poznałam go po śpiewie, mówiła dalej. Ale jak nie wstydzisz się, Fryderyku, dodała zakładając ręce, że skazałeś mnie na przebycie tak strasznej nocy, w obawie żandarmów i zbojców, wśród strasznej burzy i groźnych otchłani!... A pan znów, panie Canoville urzędnik sądowy J. K. Mości Ludwika XVIII, jak mogłeś odważyć się odgrywać wstrętną rolę takiego wyrzutka społeczeństwa?...

— Nie wstydzę się tego bynajmniej, panno Albertyno, skoro odegrałem ją tak dobrze iż zdołałem ją oszukać.

— Ah! czuję teraz wyrzut sumienia iż skazałem cię na spędzenie tak strasznej nocy! rzekł Fryderyk.

— No! odpłaciłam ci z lichwą! odparła Albertyna, mam więc zadośćuczynienie... Pewnie niebardzo byłeś szczęśliwy dzisiejszej nocy, biegając jak szalony po górach i parowach?... A cóż to jest znowu? rzekła rozkładając papier który jej wręczył—aha! twój testament, którym przekazujesz mi cały swój majątek, a sam zamierzasz odebrać sobie życie... Może i masz słuszność... byłaby to słuszna kara za wszystko co przecierpiałam w ciągu tej nocy.

— Teraz mam nadzieję, droga Albertyno, że nie będziesz już przynajmniej pogardzać cichem i spokojnem życiem w domu moich rodziców, i tęschnić za burzliwem życiem... Wszak dość masz już przygód i wrażeń?...

— A ja znów żywię więcej daleko uzasadnioną nadzieję, że ty, Fryderyku, uleczysz się z chęci dawania nauczek kobiecie, która, jak się przekonałeś, umie wybornie odpłacać za nie,—a pan znów, panie Canoville, dodała łagodniej z filuternym uśmiechem, nie będziesz tak skłonnym do uwierzenia, że tak nagle kilku spojrzeniami i słowami możesz wzbudzić bezgraniczne uwielbienie i szaloną miłość.

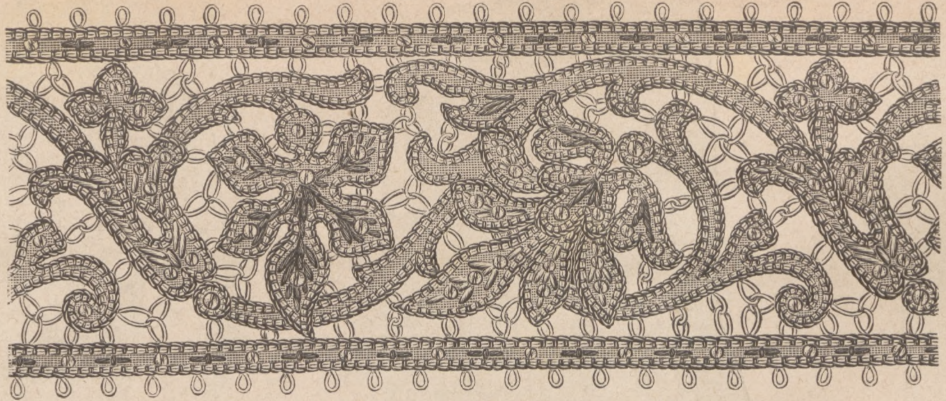
— Czy nic nie powiesz mi, Albertyno? rzekł błagalnie Fryderyk.

— Nic a nic, rzekła śmiejąc się i wsiadając do powozu, ale proszę wracajmy prędko do Nantua.

KONIEC.

Opis do N-ru 15.

(Dokończenie.)



N. 1. Szlak haftem maurytańskim, do serwet, wałków i t. p.

N. 25—27. Kołnierzyk z haftem Richelieu. Patrz ryc. 12 w N. 14 i deseń na arkuszu fig. 32.



N. 2. Fartuszek z fałdowaniem.

Odpowiedni szczególniej dla osoby starszej i przedstawiony w całości na r. 25, odrabia się podług ryc. 12 w N. 14, załączającej narożnik przedni w naturalnej wielkości i podług fig. 32, dającej część tylną deseniu. Do zapinania służy zapinka z ruchomą podstawą, rozkładająca się poziomo lub prostopadle.

N. 30. Czepek nocny formą okrągłą.

Ze skośnego kawałka cienkiego płótna, wykrawa się denko 28 cent. długie a 34 szerokie, do którego u dołu z tyłu przestębnowana jest skośna listewka $2\frac{1}{2}$ c. szeroka, 40 cent. długa, po przyszyciu której pozostały przedni brzeg denka ścina się na 2 cent. i drobno przymarszcza. Prosty pasek 3 cent. szeroki 38 cent. długi, otacza brzeg przedni.



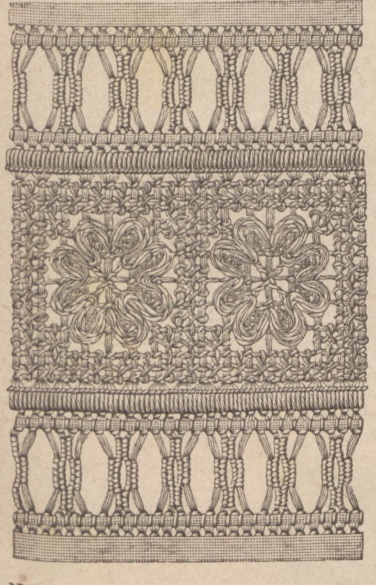
N. 4. Paletocik wcinany. Patrz r. 5. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 39—43.

N. 37—38, 45 i 75 Czepeczek szydełkowy i kołnierz. Krój czepeczka na arkuszu N. XX, fig. 57, krój kołnierza N. IX, fig. 27.

Denko składa się z dwóch pasów torsady, obrobionych i złączonych szydełkiem, wykonanych podług r. 75 załączającej próbkę roboty w naturalnej wielkości. Koronkę brzeżną stanowi torsadka medaljonowa, obrobiona ząbkami szydełkowemi. Kokarda z kolorowej wstążki. Szeroki wykładany kołnierz uszyty z cienkiego płótna, ozdobiony wszywką point d'armes, podaną na ryc. 27 w N. 14; brzegi otacza koronką.



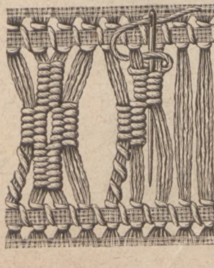
N. 6. Rzucik.



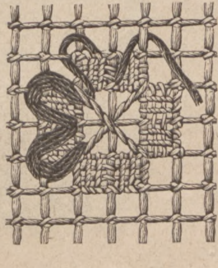
N. 9. Wszywka z kratką ażurową do ryc. 8. Patrz ryc. 8—13.

N. 39—40. Negliżyk z materyi surah z koronką i kołnierz okrągły. Krój kołnierza na arkuszu N. X, fig. 28.

Podstawę czepeczka stanowi pasek sztywnego tiulu, 55 cent. długi a 4 szeroki, u dołu z brzegu objęty wstążeczką, a z drugiego brzegu przez założenie gdzieniegdzie fałdek, zwężony do 49 cent.; do tego paska przyczepia się denko tiulowe, 20 cent. długie, 18 szerokie, przykryte z wierzchu pięcioma rzędami lekko namarszczonej koronki, przepiętej puklami wstążki 3 c. szerokiej. Pasek przykrywają dwa rzędy koronki zachodzącej na siebie. Dwa duże pukle po 12 cent. długie, dane są z kawałka materyi surah, 14 cent. szerokiego, w środku kilkakrotnie przemarszczonego do 4 cent. Okrągły kołnierz ozdobiony jest szlaczkiem wskazanym na ryc. 28 w N. 14 i koronką 3 cent. szeroką.



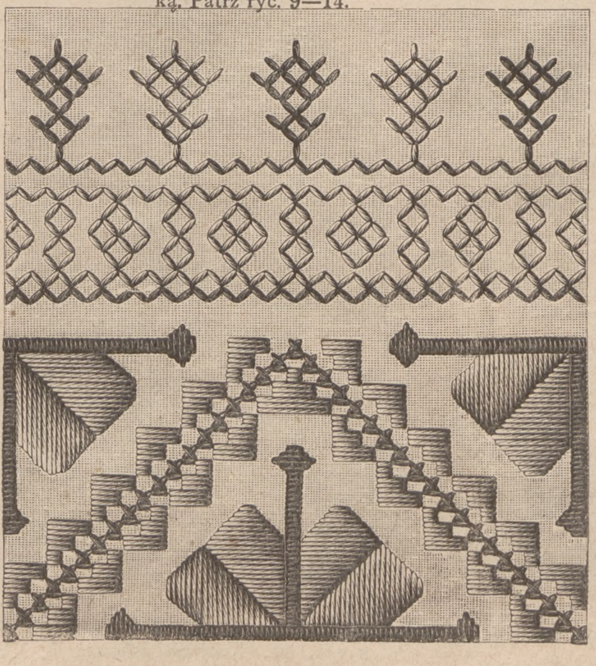
N. 11. Brzeżek do ryc. 9.



N. 12. Wyszycie gwiazdki do r. 9.



N. 8. Ręcznik z wyszyciem i kratką. Patrz ryc. 9—14.



N. 13. Szlak gobelinowy do ryc. 8.

N. 41—42. Czepeczek koronkowy i chusteczka muślinowa.

Kawałek sztywnego tiulu ścięty w ząb do przodu, 24 cent. długi, 8 cent. w środku a 2 w końcach szeroki, oszyty drucikiem i blado żółtą morową wstążką, stanowi podstawę czepeczka. Ku twarzy dana koronka 7 cent. szeroka ułożona w kontrafałdy; denko zszyte z trzech rzędów koronki, po 66 cent. długich, czwarty rząd dany brzegiem z trzech stron denka, nadmarszczony na rogach; górny brzeg denka składa się w kontrafałdę i przyczepia do podstawy pod kokardą z morowej wstążki. Chusteczka składa się ze skośnego, trójkątnego kawałka muślinu oszytego koronką.



N. 3. Fartuszek z haftem.



N. 5. Paletocik wcinany. Patrz ryc. 4. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 39—43.



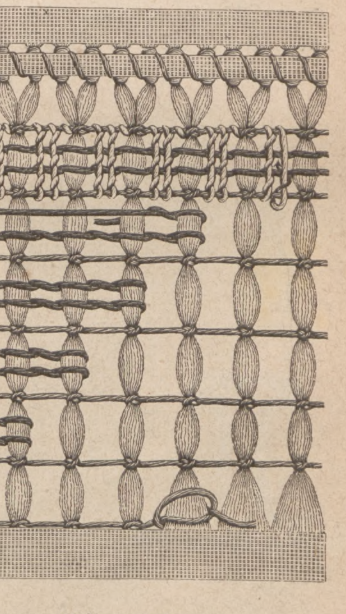
N. 7. Rzucik.

N. 43—44. Negliżyk z gazy i koronki i kołnierzyk płócienny.

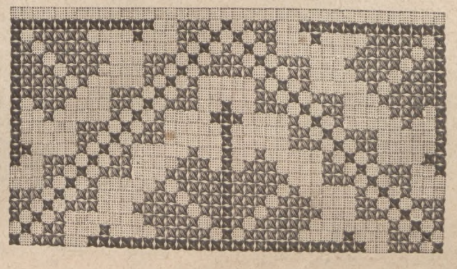
Maleńki okrągły czepeczek układa się na okrągłym pasku, 30 cent. długim, w środku 6, w końcach 2 cent. szerokim, oszytym różową morową wstążeczką i przykrytym dwoma rzędami suto marszczonej koronki, 5 cent. szerokiej. Środek czepeczka stanowi tiulowe denko, 19 c. długie, lekko odstające, przykryte bufowaną gazą, przepięte kokardą z morowej wstążki. Kołnierzyk wykładany płócienny, oszyty haftowaną falbanką.

N. 49—50. Spódnica z przypiętą turniurą. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 58.

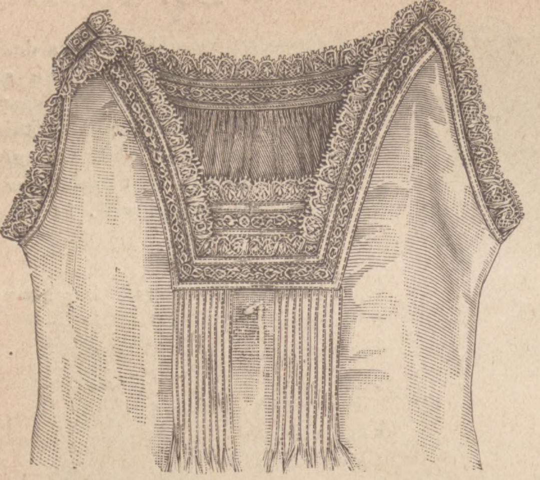
Ryciny 49 do 50 załącza model bardzo praktycznej spódnicy z turniurą, która obecnie staje się niezbędną w toalecie i od góry przypięta jest na guziki, a z boków i u dołu przywiązana tasiemkami, zapobiegającemi od przesunięcia się na bok. Na fig. 58 dajemy pod literami *a, b, c, d* krój spódnicy, uszytej z cienkiego perkalu, która z tyłu ma podszytą listewkę do ściągnięcia. Długość brakującą z boków i z tyłu dopełnia wolant 8 c. szeroki, 84 c. długi, w środku najwięcej, ku bokom mniej namarszczony. Przybranie spódnicy, prócz 4 c. szerokiej koronki, danej trzy razy u dołu, stanowi prosty wolant 24 c.



N. 10. Wiązanie kratki ażurowej, do ryc. 8—12.



N. 14. Wyszycie krzyżykowe do ryc. 8.



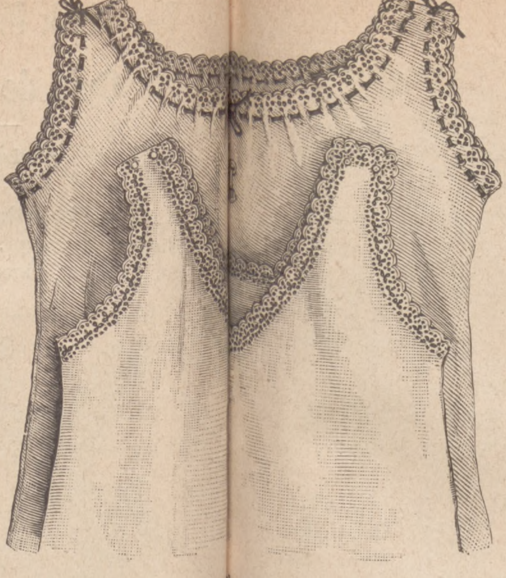
N. 15. Koszula dzienna z prosto ściętym karczkiem. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 50—51.



N. 21. Spódniczka flanelowa. Krój i deseń na ark. N. XI, fig. 29—30.



N. 22. Koszula nocna z zakładkami i kontrafałdami. Patrz r. 23. Krój na ark. N. V, fig. 19-21.



N. 16. Koszula dzienna z okrąg... krojem. Krój na arkuszu N. VI, fig. 22.
N. 17. Koszula dzienna zapięta ...nach. Krój na arkuszu N. VII, fig. 23.



N. 23. Koszula nocna z zakładkami i kontrafałdami. Patrz r. 22.



N. 24. Kaftanik flanelkowy.



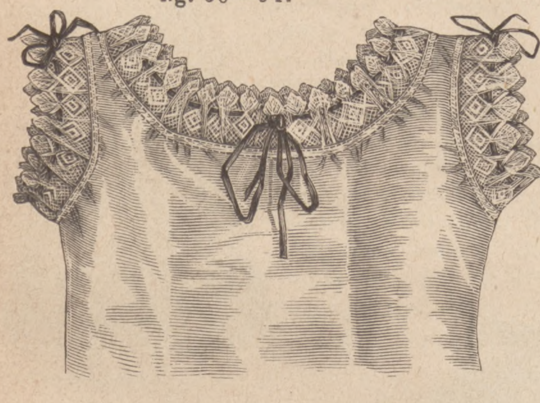
N. 18. Koszula dzienna z przemarszczeniem. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 49.



N. 26. Guziczek z podstawą złożoną poziomo. Patrz r. 27.



N. 25. Kołnierzyk z haftem Richelieu. Patrz r. 12 w N. 14. Deseń na arkuszu fig. 32.



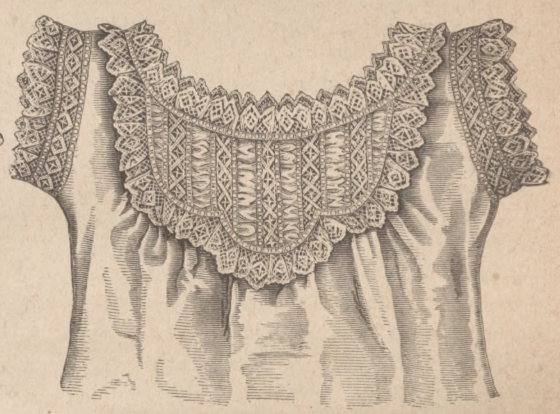
N. 19. Koszula dzienna z materyi surah. Krój na arkuszu N. VII, fig. 23.



N. 28. Karczek z koronki nicianej robionej ręcznie. Patrz ryc. 17 i 18 w N. 14. Krój i deseń na arkuszu N. VIII, fig. 24—26.



N. 29. Karczek do koszuli. Patrz ryc. 71.



N. 20. Koszula dzienna z materyi surah. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 52—53.





N. 33. Majtki zapinane z boku. Krój i opis na arkuszu N. XIV, fig. 44—45.



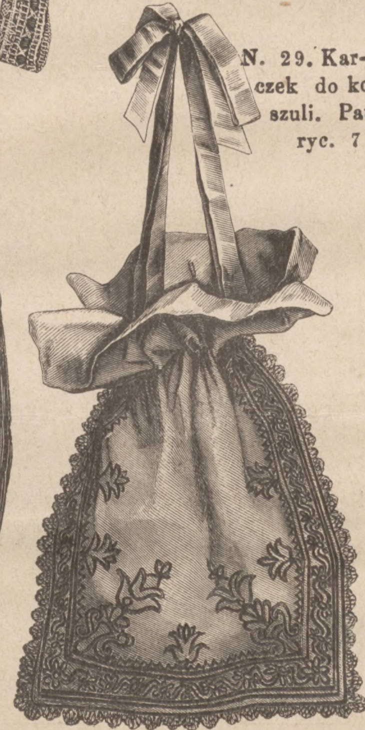
N. 30. Czepek nocny.



N. 31. Woreczek na drobiazgi.



N. 27. Guziczek z podstawą rozłożoną pionowo.



N. 46. Woreczek na szpilki do bielizny.



N. 45. Czepeczek ranny robiony szydełkiem. Patrz ryc. 37 i fig. 57.



N. 34. Majtki z szerokim pasem. Krój na arkuszu N. IV, fig. 17—18.



N. 32 Rękaw do ryc. 53.

N. 39. Negliżyk z materyi surah i koronki. N. 40. Kołnierzyk wykładany ze szlaczkiem ażurowym. Patrz r. 28 w N. 14. Krój na ark. N. X, fig. 28.

N. 37. Czepeczek ranny szydełkowy.

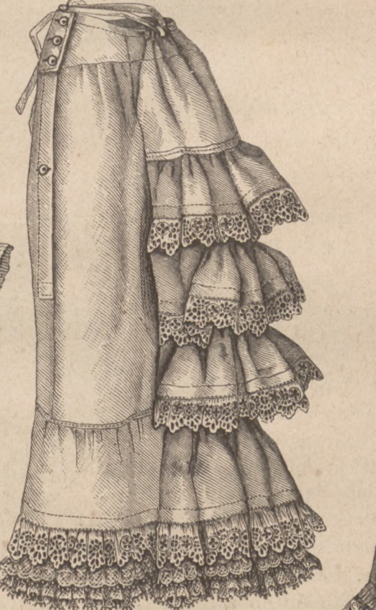
N. 38. Kołnierz płócienny.

...43. Negliżyk z gazy i koronki. N. 44. Kołnierz wykładany.

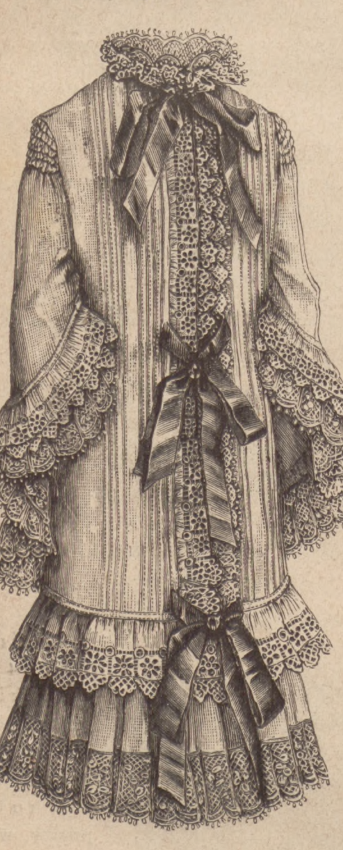
N. 41. Czepeczek koronkowy. N. 42. Chusteczka muślinowa.



N. 47—48. Pończochy z fil d'Ecosse.



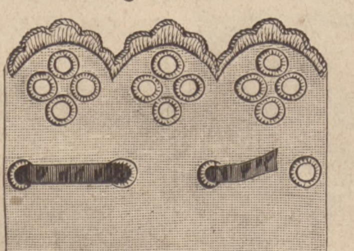
N. 49. Spódnica z turniurą. Patrz ryc. 50. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 58.



N. 58. Penioar z pelerynowemi rękawami. Patrz ryc. 59. Krój na arkuszu N. XXII, fig. 59.



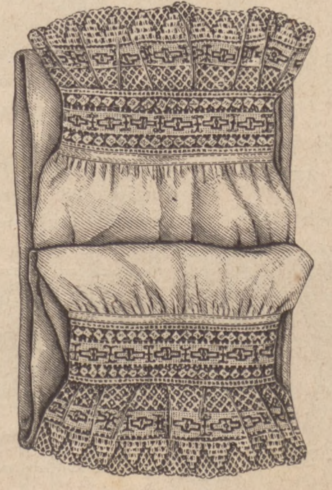
N. 51. Kaftanik nocny z wcinanemi plecami. Krój na arkuszu N. III, fig. 14—16.



N. 52. Brzeżek do ryc. 16.



N. 53. Koszula nocna z przemarszczeniem. Patrz ryc. 54. Krój na arkuszu N. XV, fig. 46—48.

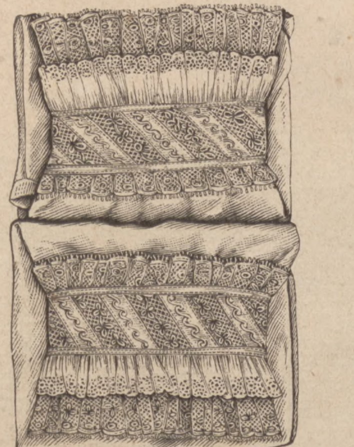


N. 35. Majtki z szydełkową koronką. Patrz ryc. 72.



N. 55. Sz... bielizny.

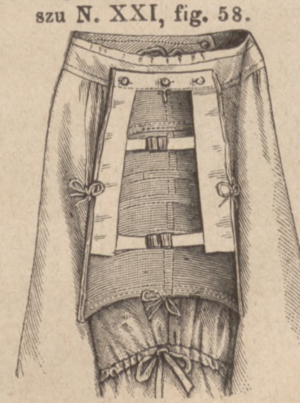
N. 56—57. Sznur do bie... otą szydełkową lub wi...



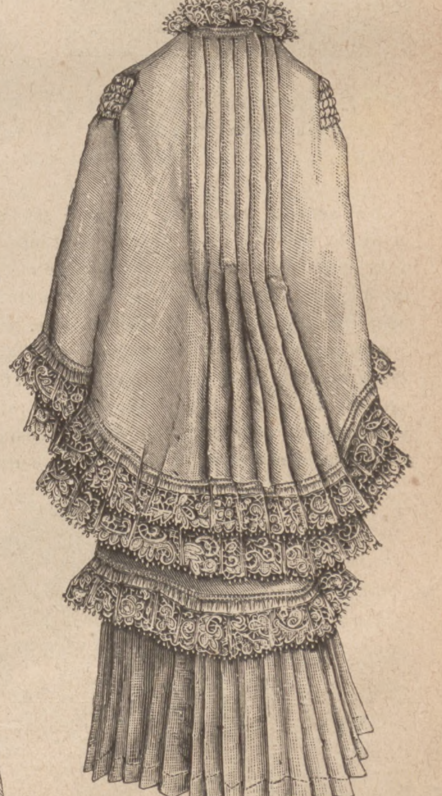
N. 36. Majtki z szerokim garnirunkiem.



N. 54. Koszula nocna z przemarszczeniem. Patrz ryc. 53.



N. 50. Spódnica z turniurą. Strona spodnia. Patrz ryc. 49.



N. 59. Penioar z pelerynowemi rękawami.



N. 60. Narożnik do kołnierzyka.

szeroki, zakończony 8 cent. szeroką haftowaną falbanką, który z przodu i z boków dany prawie gładko, a z tyłu suto zmarszczony. Falbany służące do lepszego odznaczenia turniury, naszyte na tylnych brytach są stopniowej szerokości i liczą 21, 17 i 14 cent. szerokości, długości zaś 116, 100 i 85 cent., zachodzą trochę na siebie i są w środku najwięcej zmarszczone, a ku bokom gładziej rozsunięte. Zapięcie dane z boku na guziki; pasek okrągły zapięty na guziki, z tyłu ściągany na tasiemki, kraje się podług litery *d*, spódnicę wszywa się z przodu zupełnie gładko, na biodrach więcej nadmarszcza, z tyłu zaś tylko trochę naddaje. Litera *e* na fig. 58 podaje formę połowy turniury, przypiętej od spodu, opatrzonej sześcioma rzędami stalki, do nawleczenia której podszywa się listewki w odstępach 8, 7 i 3 cent. Z brzegów bocznych podszyte są listewki proste, 3 cent. szerokie, do których są przytwierdzone elastyki zapięte na sprzączki. Górny brzeg turniury wszyty w prosty pasek 15 cent. długi, 3 cent. szeroki, w którym obrabia się dziurki do przypięcia turniury.



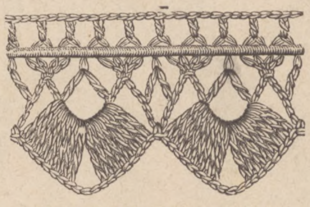
N. 61 i 65. Dwa ręczniki z wyszyciem.



N. 67. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem.



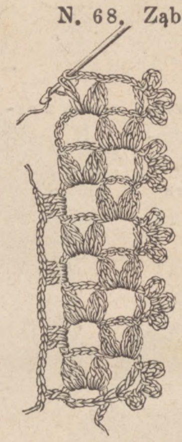
N. 66. Cyfra do ryc. 65.



N. 68. Ząbki szydełkowe.



N. 69. Ząbki szydełkowe robione poprzecznie.



N. 70. Ząbki szydełkowe robione poprzecznie.

zmarszczeniu jest 24 cent. szeroki. Przybranie stanowią wszywki i falbanki haftowane lub koronkowe.

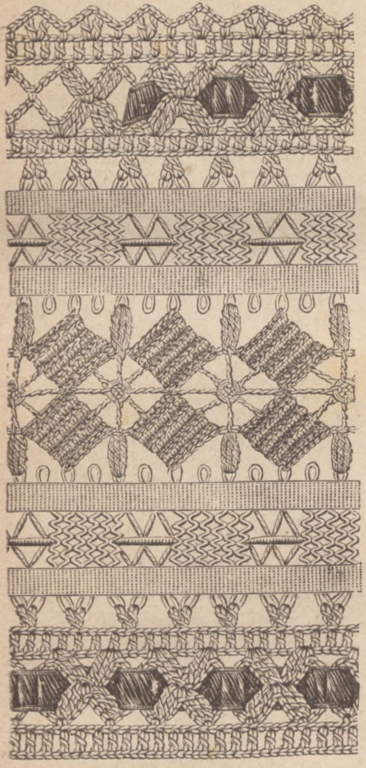
N. 58—59. Penioar

z pelerynowemi rękawami. Krój na arkuszu Numer XXII, fig. 59, deseń fig. 63.

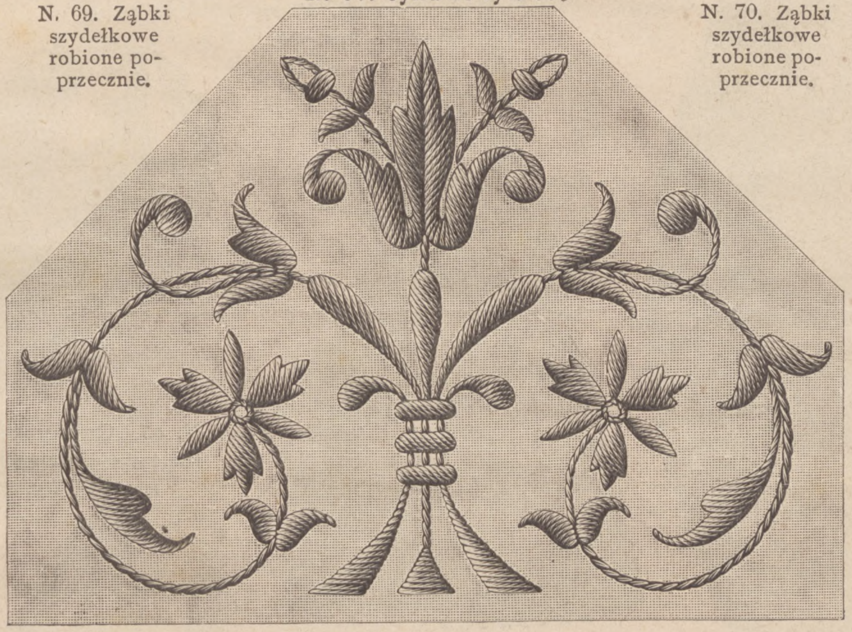


N. 62. Część deseniu do ryc. 61.

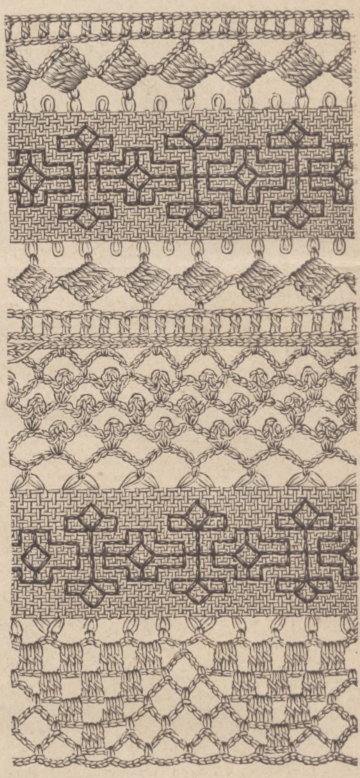
Na fig. 59 wskazujemy w maleńkim formacie krój penioaru, z podaniem całkowitych miar długości i szerokości; tylko przy krajaniu przodów i pelerynowych rękawów, trzeba dodać materyału na założenie fałd. Falbana dopełniająca długość jest 27 cent. szeroka; przybranie penioaru wskazują ryciny.



N. 71. Część roboty szydełkowej do karczka ryc. 29.



N. 63. Deseń haftu do ryc. 62.

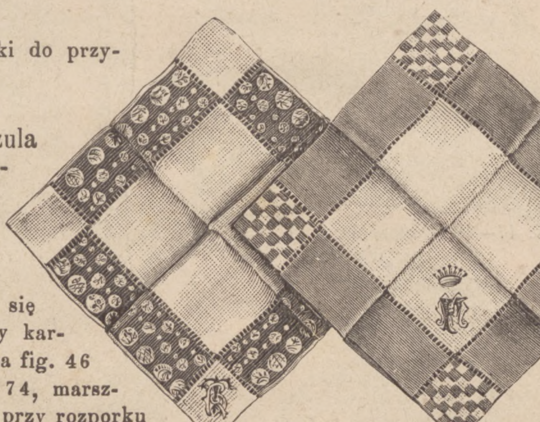


N. 72. Część szlaku szydełkowego do majtek ryc. 35.

N. 53—54. Koszula

nocna z przemarszczeniem. Krój na arkuszu N. XV fig. 46—48.

Po zszyciu stanu z boków i na ramionach, daje się w około wykroju szyi przemarszczenie, tworzące jakby karczek, którego szerokość odznacza cienka prosta linja na fig. 46 do 47; obwód karczka u góry wynosi 41 cent. u dołu 74, marszczenie zaczyna się w odstępie 2 cent. od zakłady danej przy rozporku z przodu; szerokość zbywającą na ramionach zakłada się w fałdki idące od krzyżyka do dwukropka na 10 cent. Kilkakrotne przemarszczenie dane z przodu na wcięciu stanu i u rękawów, w miejscach odznaczonych linją prostą na fig. 46 i 48; z przodu zmarszczenie liczy $4\frac{1}{2}$ cent., rękaw zaś po



N. 73—74. Chusteczki do nosa z kolorowemi szlakami.



N. 75. Robota szydełkowa z torsadką, do czepeczka ryc. 37 i 45.



N. 64. Szlaczek do ręcznika ryc. 61.



N. 76. Wszywka i bufki do karczka u koszuli ryc. 20.